



BUC idealny na wiosenny piknik

BEZPŁATNA GAZETA STUDENTÓW WYDZIAŁU NAUK POLITYCZNYCH I DZIENNIKARSTWA

BARDZO UNIWERSYTECKIE CZASOPISMO

Iluzja produktywności

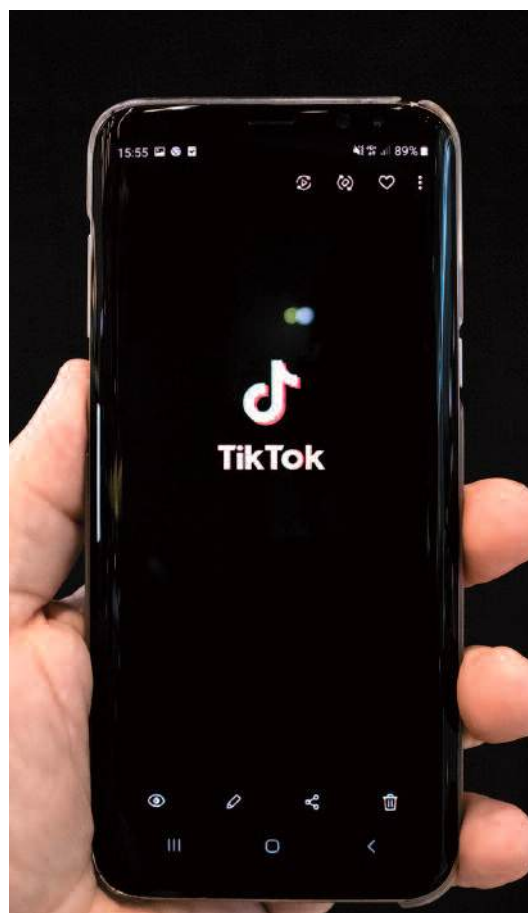
Wstań o czwartej, pomedytuj, umyj zęby, pobiegaj, pójdz na siłownię, pilates oraz jogę. Weź prysznic, wykonaj pełną pielęgnację, zaplanuj dzień, zrób pełnowartościowe śniadanie, pomaluj się, pojedź na uczelnię. Później popracuj zdalnie, popijając domową matchę na owsianym mleku. Przepis idealny, by toksyczna produktywność pokazywana w social mediach wchłonęła cię na dobre. Stajesz się bohaterem estetycznego, perfekcyjnie zaplanowanego życia, które tylko dobrze wygląda na ekranie, ale w rzeczywistości prowadzi donikąd.

Toksyczna produktywność nie istnieje od wczoraj, lecz jest zjawiskiem, którego fundamenty są starsze, niż się wydaje. Zostawanie po godzinach dla dobra rodziny było kiedyś normą – nasi rodzice traktowali przemęczenie nie tylko jako konieczność, ale nawet jako przejaw oddania i heroizmu. Nadmiar pracy był często oznaką odpowiedzialności i zaradności, należącej do kultury „tak trzeba”. Dziś to zjawisko przybrało nową, bardziej „błyszczącą” formę. Już nie chodzi jedynie o ciężką pracę – chodzi o to, żeby wyglądała ona dobrze.

Produktywność przestała być wyłącznie środkiem do celu, natomiast stała się również celem samym w sobie. A wszelkiego rodzaju social media – TikTok, Instagram, YouTube – dołwały oliwy do ognia, romantyzując takie treści i tworząc z nich „trendy”. Bo teraz nie tylko masz być zajęty – masz być zajęty estetycznie. Poranne rytuały, bullet journal będące pięknie zdobionymi notesami do planowania codzienności, fit śniadania, aplikacje do śledzenia nawyków – wszystko to tworzy obraz człowieka sukcesu, który wie, co robi. I nawet jeśli sobie nie radzi, to przynajmniej dobrze to wygląda na wyświetlaczu smartfona i oczywiście szybko zyskuje popularność.

Dopaminowa trampolina

– Uzależnienie behawioralne to zaburzenie psychiczne polegające na niekontrolowanym zachowaniu, które ma na celu poprawę samopoczucia lub zmniejszenie napięcia, niewiążące się z przyjmowaniem żadnych substancji. Ciągła ekspozycja na wyidealizowane obrazy w mediach społecznościowych może prowadzić do wytworzenia się mechanizmów podobnych do uzależnień, takich jak kompulsywne sprawdzanie i poszukiwanie nagrody np. w postaci kolejnych „idealnych” obrazów. Wiąże się to z negatywnymi konsekwencjami emocjonalnymi w tym obniżoną samooceną, lękiem, wynikającymi z nie realistycznych porównań – mówi dr Krzysztof Duda z Wydziału Nauk Politycznych i Dziennikarstwa



W pogoni za algorytmem

UAM, ekspert w zakresie nowych mediów. Nasz układ nagrody w przypadku korzystania z mediów społecznościowych może być aktywowany w podobny sposób jak w przypadku innych uzależnień. Dlatego chcemy ciągle więcej i więcej.

– Mechanizm natychmiastowej gratyfikacji bazuje na błyskawicznym dostarczaniu niewielkich dawek przyjemności, co stymuluje układ nagrody w mózgu (głównie poprzez wyrzut dopaminy). Krótkie, dynamiczne filmy na platformach, takich jak TikTok, dostarczają ciągłego strumienia nowości i stymulacji przy minimalnym wysiłku poznawczym. Ta łatwość dostępu do „nagrody” i jej zmienność (nie każdy film jest równie interesujący, co wzmacnia oczekiwanie) tworzą silną pętlę behawioralną, zachęcającą do dalszego, często kompulsywnego, oglądania – dodaje. I tak wpadamy w coraz głębszy wir oglądania coraz to nowych treści w podobnym klimacie. I coraz bardziej zaczynamy porównywać swoje życie, do tego, które widzimy na ekranie smartfona. – mówi dr Krzysztof Duda

Psychika pod presją

Pozornie niegroźne zajęcie jak regularne przeglądanie social mediów, i związana z tym konsum-

pcja wyobrażeń dotyczących idealnego życia, mogą przynieść więcej szkody niż pożytku.

– U wielu osób wskutek oglądania idealnych obrazków w internecie pojawia się chroniczny stres, wypalenie oraz poczucie winy z powodu „zmarnowanego czasu”, gdy nie są one aż tak produktywnie jak influencerki, które oglądają na wszelakich platformach społecznościowych. Pojawiają się także zaburzenia nastroju oraz przechodzenie układu nerwowego w stan ciągłego wyczerpania, ponieważ stres nie ma kiedy wejść w fazę spoczynku i regeneracji. To, co miało być drogą do samodoskonalenia, staje się źródłem presji i wewnętrznego rozdarcia między rzeczywistością a wykreowanym ideałem, który nie istnieje. Obniża się nasza samoocena oraz wiara we własną skuteczność przez stawianie sobie za wysokich celów i takich, które są nierealne, nieważne, ile byśmy się eksploatowali w ciągu dnia. Prawdopodobnie nie są one do osiągnięcia, ponieważ to sztuczne scenariusze – wyjaśnia dr Julita Wojciechowska, psycholog z Wydziału Psychologii i Kognitywistyki UAM. Warto pamiętać, że to co widzimy w mediach społecznościowych nie odzwierciedla 1:1 życia żadnego człowieka.

– Trendujące filmiki na social mediach to wizja totalna, nieprawdziwa, która może podnosić poziom nierealnych oczekiwań względem siebie oraz tego, do jakiego stanu zdyscyplinowania lub poziomu realizowania celów powinniśmy się doprowadzić. Ciało potrzebuje regeneracji, uważności, a nie ciągłego traktowania jako maszyny do wykańczania się. Służy do tego, by osiągać cele, których następstwem nie powinno być wyeksploatowanie. Natomiast tak popularne teraz filmiki przedstawiają zniekształconą wizję, w której dorosłość polega tylko na produktywności – dorosli nie słuchają swoich ciał, a używają ich tylko do realizowania określonych celów – wskazuje psycholog.

Współcześnie łatwo zapomnieć, że nie jesteśmy projektami do udoskonalania. Przestajemy słuchać siebie, a zamiast tego korzystamy z algorytmów i nadajemy sobie tempo z popularnych filmów, poradników oraz motywacyjnych głosów w tle. „Idealny poranek” z TikToka nie przewiduje miejsca na bycie człowiekiem. W którym momencie produktywność staje się toksyczna i zaczyna przypominać autodestrukcję? Dlaczego idealna rutyna co do minuty ma określać nasze życie oraz jego wartość? Prawdziwe życie nie mieści się w kadrach z Instagrama czy TikToka. Warto się zastanowić, czy w pogoni za perfekcyjnym obrazem naprawdę odnajdujemy siebie, czy tylko iluzję, która ostatecznie prowadzi nas do jeszcze większego zmęczenia oraz wyczerpania w pogoni za toksyczną produktywnością.

Benita DOLNIAK
bendol@st.amu.edu.pl



Teatrzyk na płonącej granicy
s. 2

Polecamy



Pretty Woman,
ale to nie Hollywood
s. 5



U boku prezydentów
s. 8



Reelekcja bez nadziei
s. 10-11

Od redakcji

Kochani Czytelnicy!

Wielkanoc już za nami, a wraz z nią niemalże połowa semestru. Ale przed nami majówka i coraz piękniejsza pogoda, z której trzeba korzystać! Bez względu czy cieszyć się słońcem na balkonie, w parku czy przy grillu, nowe wydanie BUCa nada się idealnie, aby ten czas Wam umilić.

W tym numerze Benita porusza temat wyidealizowanej produktywności w mediach społecznościowych, Yelizaveta pyta studentów o poczucie samotności, a Agnieszka przygląda się studenckim budżetom. Igor zabiera nas w podróż na granicę indyjsko-pakistańską, Ania przybliża sylwetki pierwszych dam, a Dominik rozmawia z Witoldem Juraszem o polityce zagranicznej USA. Redaktorzy z działu kultury poruszają tym razem szeroki zakres tematyczny – przez recenzję gier, książek, filmów i spektakli, po relację z wystaw i przybliżenie fenomenów kulturalnych. I jak zwykle, na ostatnich stronach znajdziecie tematy sportowe przygotowane dla Was przez Filipa i Jacka.

Mam nadzieję, że każdy z Was znajdzie coś interesującego w tym numerze. Mnie pozostaje życzyć Wam przyjemnej lektury i dużo słońca!

Redaktorka naczelna
Izabela Tomaszewska



Redaktorka miesiąca



Wiktoria Jesionka

Hejka! Jestem studentką dziennikarstwa i komunikacji społecznej. W BUCu możecie czytać moje artykuły, ale zajmuję się też korektą. Kocham zwierzęta i jestem szczęśliwą posiadaczką psa i królika. Poza nimi w centrum moich zainteresowań są też psychologia, kino i public relations. Swoją czas wolny zazwyczaj spędzam na łonie natury, a moim ulubionym miejscem jest morze, szczególnie podczas wschodu słońca.

Teatrzyk na płonącej granicy

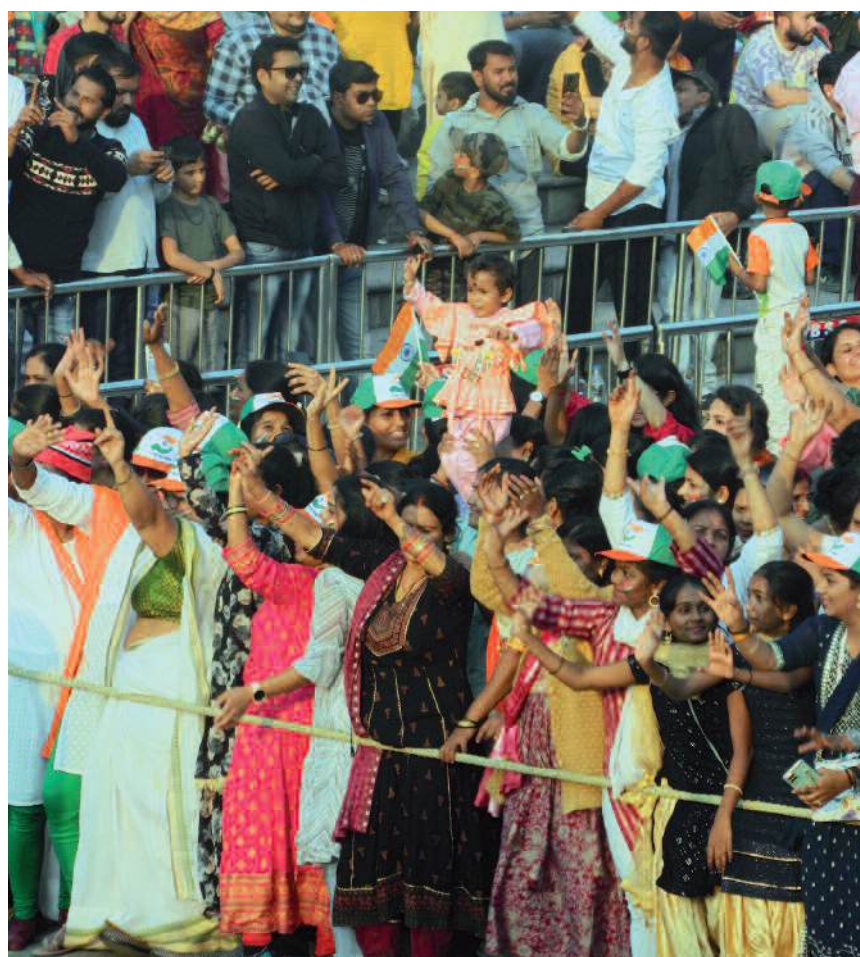
Jak pokłosie kolonializmu doprowadza codziennie do indyjsko-pakistańskiej walki kogutów? Wszystkie drogi prowadzą do Brytyjczyków. „Dzieli nas wiele, ale łączy nas przeszłość kolonialna” – w taki sposób przyczyny politycznego cierpienia mogłyby komentować państwa będące kiedyś częścią Korony Brytyjskiej. To pasmo jej błędnych decyzji doprowadziło do trwającego już prawie osiemdziesiąt lat konfliktu między Indiami a Pakistanem. Konfliktu, który zaowocował czterema wojnami i niestabilną sytuacją w Kaszmirze oraz regionach przygranicznych.

Wszystko to zaczęło się od wycofujących się Brytyjczyków, którzy postanowili tak ułożyć północno-wschodnią granicę, by regiony głównie zamieszkałe przez konserwatywną ludność muzułmańską trafiły pod jurysdykcję władz w Delhi. By relacje między krajami były napięte, co miało umożliwić zachowanie strefy wpływów. Częściowo udało się, jednak – jak mieli w zwyczaju Brytyjczycy – ich interesy miały dla ludności lokalnej niewspółmierną liczbę strat w porównaniu do zysków.

Nienawiść trzeba pielęgnować

Maszyna propagandowa potrzebuje dużo paliwa, tym bardziej gdy chodzi o podzielone etnicznie i narodowościowo Indie. Dlatego pomiędzy pierwszą i drugą wojną o Kaszmir w 1959 roku rozpoczął się trwający do dziś „teatrzyk”. Na przejściu granicznym Attari-Wagah codziennie odbywa się zamknięcie granicy, groteskowe święto pokazu siły narodowej obu państw. Wygląda to zarazem obsecnicznie, jak i przerażająco. Całość wydarzenia dzieje się na stadionie mieszczącym kilka tysięcy osób, z których część kieruje się razem z dziećmi na płytę główną, aby radośnie tańczyć do piosenek patriotycznych. Niestety nie wpuszczają tam turystów, których wojsko kieruje na trybunę i przydziela im miejsce.

Ceremonie rozpoczyna nagle przerwanie muzyki, a miejsce grupy tańczących na płycie ludzi zajmuje żołnierz-wodzieir. Wraz z nim tłum wyśmiewa wrogi kraj i jego ludności wykrzykując takie hasła, jak „chwała wielkim i potężnym Indiom”. Dzieje się to pomimo narracji o tym, że wydarzenie oprócz pokazu sił ma być okazem braterstwa państw i pomimo prezentów, którymi wymieniają się wojska w przypadku świąt religijnych. Pielęgnowanie nienawiści opłaca się jednak dużo bardziej – żeby móc usprawiedliwić nieetyczne działania wojsk wobec mniej-



Ceremonia zamknięcia granicy Attari-Wagah, Indie

szości muzułmańskich czy potencjalny konflikt zbrojny, który – sądząc po wypowiedziach elity politycznej obu krajów – wisi w powietrzu. Dlatego ludzie przyjeżdżają tam, by doświadczyć uniesienia narodowego i wypuścić kotłujący się w nich gniew wobec przeciwnej nacji. Udowadniają sobie i pokazują innym, że agresja jest akceptowalna, a nawet oczekiwana.

A na to patrzy Gandhi

W pewnym momencie płytę stadionu opuszcza nawet „wodzieir” i uwagę widzów przejmują wkraczające oddziały żołnierzy w mundurach z wieloma kolorowymi akcentami. Hindusi stroje mają głównie beżowe, a Pakistańczycy czarne. Obydwa oddziały wyglądają jak stada ptaków, które chcą pokazać dominację swoim konkurentom. Robią to, napinając mięśnie, podnosząc wysoko nogi i tupiąc. Część z wykonywanych pozycji wygląda dosłownie jak stroszenie się paw. Żołnierze tanecznym krokiem zbliżają się i oddalają od granicy, po czym z dwóch stron ją otwierają, by opuścić flagi narodowe i oficjalnie, teatralnie i patetycznie zamknąć przejście graniczne.

Wszystko to obserwują obywatele obydwu państw i turyści, zającąc całą sytuację uwidacznia wielki obraz Mahatmy Gandhiego – przeciwnika przemocy, wojny i agresji. Człowieka krzewiącego idee pokoju i komunikacji,

ale też bohatera narodowego Indii. Człowieka, bez którego dążenia niepodległościowe kraju mogłyby kosztować setki tysięcy żyć i niezliczoną ilość krwi i łez. Jednak mimo to sygnowanie tego przedsięwzięcia jego twarzą wydaje się nie na miejscu i wzmacnia poczucie absurdu oraz zmieszania, które ma się wracając z granicy.

Ceremonię – mimo mieszanych odczuć po jej zakończeniu – zdecydowanie warto zobaczyć. Poszerzyć obraz kraju tysiąca bóstw o inną perspektywę niż rajskie plaże Goa, kurs nauczyciela jogi czy zobaczenie Tadź Mahal. Podróż do tej części Indii nie jest prosta, jeśli nie ma się budżetu na samolot, ale wykonalna za pomocą autobusu czy kolei. Zaczynając w New Delhi po mniej więcej dziewięciu/dziesięciu godzinach spędzonych w przedziale – bez opóźnień oczywiście – można znaleźć się w Amritsar – stolicy stanu Pendżab, z którego jedzie się już tylko około czterdziestu minut do granicy, najciszej zapchaną po brzegi riksą. Koszty nie są duże, gdyż wejście na ceremonię jest darmowe, a opłaty sprowadzają się do przejazdu i jedzenia na miejscu. Miejsce to raczej nie pojawi się jako podpunkt podróżniczej listy w mediach społecznościowych, jednak wielu lokalnych namawia i sprzedaje wycieczki na granicę. I to zdecydowanie jest jedna z ofert, na którą warto się zgodzić lub rozważyć.

Igor RATAJCZAK
igorat@st.amu.edu.pl



Wydawca
Wydział Nauk Politycznych i Dziennikarstwa
Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza
w Poznaniu
ISSN 1642-1140
Redakcja
Wydział Nauk Politycznych
i Dziennikarstwa, ul. Umultowska 89a,
pokoje 144, 61-614 Poznań
e-mail: teksty.buc@gmail.com

Redaktor naczelna
Izabela Tomaszewska
Zastępca redaktora naczelnego
Agnieszka Łukaszewska
Sekretarz redakcji
Agnieszka Łukaszewska
Numer makietywali
Izabela Tomaszewska
Anna Bielecka

Wydawca numeru
Natalia Borodkina
Mikita Buyak
Mateusz Chojnowski
Paulina Cichoszewska
Jagoda Czerwińska
Joanna Dąbrowska
Gabriela Dembowska
Jacek Dobiański
Benita Dolniak
Wiktoria Duda
Łukasz Grabia

Weronika Grochalska
Dominik Janicki
Dominika Jerzak
Wiktoria Jesionka
Weronika Jóźwiak
Bartosz Kabaciński
Mateusz Kalmuk
Stanisław Karalus
Jagoda Kasprzyk
Wiktoria Kępińska
Serhii Khodiev

Wiktoria Konieczna
Karolina Korkosz
Olga Kregielska
Natalia Król
Karolina Kubiak
Maria Kucharczak
Klára Kucza
Kajetan Kuszak
Olga Lipińska
Agnieszka Łukaszewska

Yeva Maksimava
Jakub Marciniak
Olga Michalska
Amelia Ogrodowczyk
Anna Pajchrowska
Ines Przybył
Igor Ratajczak
Yelizaveta Rayetskaya
Weronika Rybacka
Jasmina Skrobariska

Milena Spiralska
Alicja Sugier
Filip Szymkowiak
Izabela Tomaszewska
Anastasiya Trafimuk
Mikita Tsiabuz
Magdalena Walczak
Ada Wójcik
Wiktoria Wójcikiewicz
Jędrzej Wróblewski

Michał Wybrański
Olivia Zajkowska
Korekta:
Paulina Cichoszewska
Wiktoria Duda
Wiktoria Jesionka
Weronika Jóźwiak
Klára Kucza
Kajetan Kuszak
Ada Wójcik

Wiktoria Wójcikiewicz
Social media:
Natalia Borodkina
Mikita Buyak
Gabriela Dembowska
Dominika Jerzak
Weronika Kamaból
Jagoda Kasprzyk
Wiktoria Konieczna
Karolina Korkosz
Natalia Król

Olga Lipińska
Yeva Maksimava
Anna Pajchrowska
Yelizaveta Rayetskaya
Anastasiya Trafimuk
Magdalena Walczak
Ada Wójcik
Wiktoria Wójcikiewicz
Olivia Zajkowska
Autor logo
Andrzej Szymczak

Opieka nad redakcją
Aleksandra Konieczna
Skład komputerowy
Tomasz Szukała
Druk
Drukarnia w Bydgoszczy
ul. Grunwaldzka 229
85-438 Bydgoszcz

Redakcja zastrzega sobie
prawo do redagowania
i skracania nadesłanych
tekstów.

Niedziela, godzina 15:00, Muzeum Narodowe w Poznaniu. Goście tłumnie ustawiają się w kolejkach do szatni, z trudem wyszukując wolnych szafek depozytowych i wypatrując dostępnych zestawów z audio-przewodnikami. Wszyscy są gotowi, by przekroczyć próg najnowszej wystawy czasowej – Józef Chełmoński zagościł w Poznaniu.

Wystawa prac Chełmońskiego przyjechała do Poznania z Warszawy. Zostanie w Muzeum Narodowym na ponad trzy miesiące, do końca czerwca, a potem wyruszy dalej – do Krakowa. Ogrom zbioru prac artysty niewątpliwie zachwyci – na wystawie można zobaczyć ponad 120 obrazów olejnych oraz liczne rysunki. Dzięki chronologicznej aranżacji, wzbogaconej o elementy biograficzne, odwiedzający mają okazję zanurzyć się w niezwykłą podróż przez artystyczny rozwój Chełmońskiego – od prac stworzonych pod okiem mentora w czasie studiów, po późne przedstawienia natury i motywów ludowych powstałe w domu artysty we wsi Kuklówka.

Wybitny polski realista

Józef Chełmoński jest uznawany za jednego z najwybitniejszych malarzy nurtu realistycznego w Polsce, a jego obrazy, na przykład „Babie lato” czy „Bociany”, na stałe weszły do polskiego kanonu sztuki. Kształcąc się w Warszawie i Monachium, Chełmoński nawiązał znajomość z wieloma słynnymi malarzami, takimi jak Stanisław Witkiewicz czy Józef Brandt. Wczesna twórczość artysty pokazuje fascynację polską i ukraińską ziemią oraz manifestuje jego zainteresowanie anatomią koni. Chcąc rozwinąć swój warsztat malarski i zdobyć światowe uznanie, Chełmoński wyjechał do Paryża. Spędziwszy prawie dwanaście lat w stolicy sztuki, kontynuował uwiecznianie motywów związanych z polską wsią i tworzył słynne „Czwórki” i „Trójki” przedstawiające zaprzęgi konne. Mimo że większość okresu paryskiego okazała się sukcesem i pozwoliła artyście wejść również na rynek amerykański, ostatecznie Chełmoński zdecydował się wrócić do Polski i osiedlić się na mazowieckiej wsi. Tam oddał się zarówno malarstwu pejzażowemu, jak i przedstawianiu dzieł polskich chłopów.

Wystawa w poznańskim Muzeum Narodowym wydziela poszczególne etapy malarstwa artysty i pozwala odwiedzającym sa-

Chełmoński zagościł w Poznaniu



Wystawę można oglądać do 29 czerwca

modzielnie dostrzec główne motywy charakteryzujące poszczególne okresy jego twórczości.

Zachwycający warsztat

– Od dawna interesowałam się malarstwem Chełmońskiego. Mam albumy z jego twórczością oraz czytałam jego biografie, lecz podczas wizyty w Muzeum Narodowym w Poznaniu uświadomiłam sobie, że żadna z posiadanych przeze mnie książek nie jest w stanie oddać stylu i kreski malarza. Wrażenie, jakie wywołuje na odbiorcy duże płótno jest niezastąpione – mówi Klaudia, studentka Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu oraz wielbicielka polskiego realizmu. – Bardzo się cieszę, że mogłam zobaczyć na żywo obraz zatytułowany „Burza”, to jedno z moich ulubionych dzieł Chełmońskiego. Przedstawia grupę chłopów chowających się przed burzą, kulących się i modlących. Po prawej stronie widzimy stado krów spłoszonych przez uderzenie pioruna. Najbardziej podoba mi się w „Burzy” jej kompozycja oraz użycie koloru. Rozbłyskujący na niebie piorun przecina układ obrazu na pół, przyciągając przy tym uwagę odbiorcy. Na obrazie jest dużo szarości i brązów, ale jednocześnie żółto-biały piorun rozświetla całą scenę. Na żywo „Burza” robi dużo większe wrażenie – dzieli się swoimi wrażeniami Klaudia.

Innym dziełem Chełmońskiego, które bez wątpienia zachwycało wielu gości wystawy, jest obraz olejny zatytułowany „Wieczór letni – wspomnienie Ukrainy”. Obraz przedstawia młodą kobietę o niewidocznej twarzy siedzącą przy oknie, a cała scena emanuje tajemniczą atmosferą. Za oknem widać dwa psy – motyw, który pojawia się w innych dziełach Chełmońskiego, takich jak na przykład słynne „Babie lato”. Poza samym obrazem warto wspomnieć również o procesie jego powstania. Jak sugeruje tytuł, Chełmoński namalował go, zainspirowany pobytem na ukraińskiej ziemi, już po powrocie do pracowni w Warszawie. Artysta chłonął krajobraz Ukrainy, jednak tamtejsze widoki malował dopiero po powrocie do domu, bez szkiców, całkowicie z pamięci.

Wystawę prac Chełmońskiego warto odwiedzić nie tylko ze względu na pokaźną liczbę prezentowanych dzieł, lecz również z uwagi na fakt, że niektóre obrazy pozostają niedostępne dla oczu postronnego widza. Ostatnia odnotowana prezentacja wspomnianego już „Wieczoru letniego” odbyła się w 1890 roku. Dodatkowo dzieła na poznańskiej wystawie pochodzą z całej Polski, ze zbiorów zagranicznych oraz z kolekcji prywatnych, dlatego „Józef Chełmoński 1849–1914” jest niepowtarzalną okazją, aby zanurzyć się w dorobku wybitnego przedstawiciela polskiej sztuki realistycznej.

Alicja SUGIER
alisug@st.amu.edu.pl

Zanurzeni w sztuce

Światy sztuki i nowoczesnych technologii spotkały się w Poznaniu. Od 16 marca trwa immersyjna wystawa poświęcona twórczości znanego wiedeńskiego artysty Gustava Klimta. Ekspozycja przyciąga uwagę osób z całego świata, oferując możliwość zapoznania się z życiem oraz twórczością malarza.

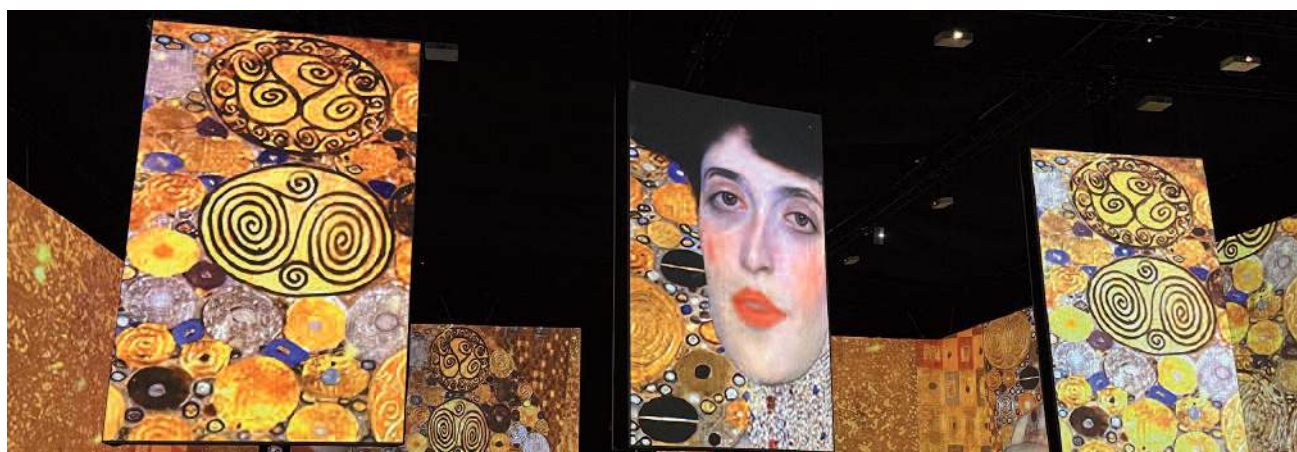
Wystawa prac Klimta składa się z czterech części, z których każda pogłębia wiedzę zwiedzających oraz poszerza ich horyzonty. Pierwsza opowiada o życiu i twórczości artysty w formie kalendarium. Można się z niej dowiedzieć, że Klimt do dziś uważany jest za jednego z najwybitniejszych malarzy austriackiego symbolizmu. Co więcej, zalicza się go do grona najważniejszych artystów jego czasów. Wyjątkowym elementem sali jest rekonstrukcja miejsca pracy twórcy wraz z jego figurą woskową.

Wystawa od wewnątrz

Wraz z kolejnym krokiem zwiedzający przechodzą do części z dwunastoma kopiami wytwornych obrazów artysty. W dwóch pokojach można podziwiać takie dzieła jak: „Pocałunek”, „Kochankowie” czy „Drzewo życia”, wszystkie w skali jeden do jeden. Po ich obejrzeniu zwiedzający trafiają do strefy VR, w której można wejść w głębszą interakcję z dziełami – specjalistyczne okulary umożliwiają podróżowanie wewnątrz twórczości malarza.

Czwarta strefa od samego początku zwraca na siebie uwagę piękną muzyką Zbigniewa Preisnera, lecz za zasłoną chowa tajemnicę. Po wejściu zwiedzający obcują z dużymi ekranami od podłogi do sufitu, pokazującymi dzieła artysty. Lektor opowiada ciekawostki o Klimcie, a strefa relaksu pozwala zanurzyć się w jego twórczości.

Po zapoznaniu się z wystawą można zajrzeć do sklepu z pamiątkami, kupić magnesy albo naczynia z wizualizacjami obrazów artysty. Czas obejrzenia ekspozycji to około półtorej godziny.



Dzięki strefie VR można zanurzyć się w twórczości artysty

Kobiety i erotyka

W czwartej części wystawy słyszymy słowa Klimta wyjaśniające, dlaczego artysta nigdy nie stworzył autoportretu. „Nie wykonałem żadnego autoportretu. Nie interesuję się własną osobą jako przedmiotem malarstwa, bardziej ciekawią mnie inni ludzie, zwłaszcza kobiety”.

Osoba Klimta często kojarzy się z erotyką. Artysta ubóstwiał kobiety i stworzył wiele portretów dam z wyższych sfer. Nie były to jednak dzieła akceptowane przez burżuazję, ponieważ często eksponowały nagość. Co więcej, w swoich obrazach Klimt stawiał na wizerunek kobiety femme fatale.

Uczestnicy wystawy słyszą: „Kobiecość to tajemniczy żywioł, tworzony z dwuznacznej siły: niszczyielskiej i tworzącej, zdolnej do bezwzględnego zła, ale też dobra. W moich postaciach drzemia tajemnicze siły i uniesienia, których raz rozbudzonych, nie sposób ugasić”. Historycy nie wykluczają, że artysta mógł mieć relacje z niektórymi ze swoich modelek. Wszyscy jednak zgadzają się, że miłością jego życia była Emilia Flöge.

Klimt a miłość – antonimy?

Lektor kontynuuje swoją opowieść. Pogłębiając doświadczenie zwiedzających, powtarza słowa artysty: „Moje myśli krążą

stale wokół miłości, pożądania i erotyzmu, które wbrew pesymizmowi epoki, przedstawiałem jako źródła życia i siły, zdolne ocenić człowieczeństwo. Ja sam boję się miłości i czuję przed nią respekt”.

Klimt nigdy się nie ożenił i nie miał dzieci. Całe życie poświęcił sztuce, tworząc najwybitniejsze dzieła modernizmu. Do swojej pracy podchodził poważnie, jednak nie liczył na to, że wszystkie jego obrazy zostaną uznane. Nie interesowała go akceptacja, tylko możliwość tworzenia – „Jeśli swoimi czynami i sztuką nie możesz zadowolić wszystkich, to przestań na tym, żeby podobać się nielicznym. Złe jest podobać się wszystkim”.

Wydarzenie jest możliwością spotkania z twórczością Klimta nie tylko dla jego miłośników, lecz także dla młodych artystów. Dzięki wystawie można zapoznać się zarówno z dziełami malarza, jak i jego przemyśleniami, a także pogłębić swoją wiedzę o sztuce jako takiej. Użycie nowoczesnych technologii nie tylko imponuje, lecz również poszerza horyzonty postrzegania historii sztuki, wywierając wpływ na jej współczesną i przyszłą formę.

Yeva MAKSIMAVA
yevmak@st.amu.edu.pl

Walka o twórcze pomysły

Studio pod przewodnictwem Josefa Faresa odpowiedzialne za wielokrotnie nagradzane „It Takes Two” powraca z nowym tytułem. Podobnie jak ich poprzednie hity również ta gra stawia na kooperację i współpracę między graczami. Tym razem odbywa się to w tematyce obrony pomysłów niezależnych artystów wykorzystywanych przez korporacje. W niespełna miesiąc po premierze gra pobiła kilka światowych rekordów. Czy „Split Fiction” dorównuje poprzednim produkcjom studia?

Josef Fares to szwedzko-libański reżyser i projektant gier wideo. Swoją działalność zaczynał w przemyśle filmowym. W 2013 roku wydał swoją pierwszą grę „Brothers: A Tale of Two Sons”, która zebrala pozytywne recenzje krytyków. Większą rozpoznawalność w branży gier Fares zaczął zdobywać, kiedy na gali The Game Awards w 2017 roku w ostrych słowach krytykował zarówno filmowe Oscary, jak i swojego wydawcę Electronics Arts. Kilka miesięcy później odbyła się premiera „A Way Out” – produkcji, która zrewolucjonizowała pojęcie gier kooperacyjnych.

W obronie pomysłów

Szóstego marca do sklepów trafiło „Split Fiction”. Tytuł opowiada historię dwóch całkowicie różnych od siebie pisarek. Poznajemy tworzącą powieści science-fiction, stonowaną i wycofaną Mio, oraz pełną energii i zawsze pozytywną Zoe, której domeną jest fantasy. Tym co łączy bohaterki jest chęć wydania własnego dzieła i wyjście z problemów finansowych. Zostają one uwięzione i podłączone do maszyny, która ma za zadanie wykraść ich twórcze pomysły. Aby uwolnić się z opresji muszą nauczyć się ze sobą współpracować, poprzez eksplorację własnych utworów. Pojawienie się w grze maszyny stanowi wyraz krytyki twórców tytułu względem generatywnej sztucznej inteligencji.

Gra płynnie przeplata ze sobą światy sci-fi i fantasy, stawiając graczy w przeróżnych sytuacjach. Raz wrzuca ich w sam środek cyberpunkowej metropolii, gdzie jako futurystyczni ninja

muszą dokonać zemsty na szefowej grupy przestępczej. W następnym rozdziale daje im możliwość zmiany w przedstawicieli fauny i flory, aby mogli uratować las przed zamrożeniem. Głównym zadaniem tego etapu gry jest pokonanie Króla Lodu. Na każdym z poziomów można natrafić na szereg odniesień do innych znanych gier i filmów.

Przygoda pełna wrażeń

Rdzeń rozgrywki sprowadza się do typowego dla platformówek przemierzania poziomu przy pomocy podwójnych skoków lub zrywów. Każdy rozdział oferuje odmienny zestaw zdolności dla Mio i Zoe, co sprawia, że ponowne przejście całej gry inną postacią stanowi zupełnie nowe doświadczenie. Gra co rusz bawi się perspektywą lub prezentuje tak skonstruowane lokacje, aby zmusić graczy do współpracy. Często wymaga szybkich reakcji i precyzyjnych ruchów, skoordynowanych z drugą osobą. Niektóre momenty mogą przekształcać ten tytuł w swego rodzaju grę rytmiczną. „Split Fiction” jest najbardziej intensywnym doświadczeniem spośród wszystkich produkcji Hazelight. Poziom trudności wydaje się wyższy niż w przypadku poprzedniej gry tego studia.

Tytuł od strony wizualnej prezentuje się niesamowicie, każdy poziom to inny, pełen szczegółów świat. Na swojej drodze można napotkać wiele miejsc, w których warto się zatrzymać i podziwiać widoki. Twórcy doceniają kreatywność graczy i ich chęć do eksploracji, czego idealnym przykładem jest lista osiągnięć. Spośród dwudziestu dostępnych, tylko jedno dotyczy warstwy fabularnej. Aby zdobyć resztę, potrzebna jest wnikliwa obserwacja i interakcja z otoczeniem, wymagająca niesablonowego myślenia.

Liczy się sztuka

Josef Fares powtarza, że gry to forma sztuki i to właśnie chęć ich tworzenia jest głównym motorem napędowym jego działalności. W czasach, w których wielu wydawcy robią wszystko, aby wyciągnąć od graczy jak najwięcej pieniędzy, studio Hazelight wychodzi im naprzeciw. „Split Fiction” zostało wycenione na nieco ponad 200 zł w zależności od platformy. Dodatkowo, aby cieszyć się rozgrywką sieciową, wymagana jest tylko jedna kopia gry. Druga osoba może skorzystać z opcji „Friend Pass”,



Oficjalny materiał promocyjny

To dobry materiał na książkę

która umożliwia dołączenie do znajomego bez konieczności posiadania pełnej wersji.

„Split Fiction” to bez wątpienia obowiązkowa pozycja dla fanów gier kooperacyjnych. Tytuł dostępny jest na konsole PlayStation 5, Xbox Series S/X, komputery osobiste oraz w usłudze streamingowej GeForce Now. Po raz pierwszy w historii studia dostępna jest również pełna rozgrywka międzyplatformowa. Gracze mogą łączyć się ze sobą niezależnie od sprzętu z jakiego korzystają. Współpracuje z tym również funkcja darmowego dostępu dla znajomych.

Nie ulega wątpliwości, że studio wie jak robić gry kooperacyjne. Kolejne gra okazuje się sukcesem i cały czas zyskuje na popularności. Czym zaskoczy nas w przyszłości?

Łukasz GRABIA
lukgra5@st.amu.edu.pl

Piękno to nie wszystko

Chyba każdy kojarzy pierwszą, najstarszą księżniczkę Disneya. To od niej wszystko się zaczęło, gdyż to właśnie ona jest uznawana za pierwowzór dla kolejnych bohaterek. W tym roku producenci postanowili wydać tę jakże popularną bajkę w odświeżonym wariantcie, czyli w wersji live action. Jeszcze przed premierą pojawiło się wiele kontrowersji wokół filmu. Czy rzeczywiście jest aż tak źle?

Pod koniec marca do kin trafiła najnowsza aktorska wersja bajki Disneya. Tym razem padło na Śnieżkę, która przez jednych jest wielbioną, a przez drugich – nienawidzoną. Twórcy mieli nie lada wyzwanie, gdyż zmodyfikowanie znanej już historii wymaga dużego zaangażowania i trzymania się oryginału, aby widzowie byli zadowoleni. To, że wcześniejsze bajki w wersjach live action się sprawdziły, nie znaczy, że opowieść o księżniczce zatrutej jabłkiem także odniesie sukces.

Film „Śnieżka” powstał na podstawie bajki Disneya „Królewna Śnieżka i siedmiu krasnoludków” z 1937 roku. Obie produkcje opowiadają o życiu księżniczki, która zostaje otruta przez swoją macochę. Oczywiście pojawiają się charakterystyczne elementy, takie jak zaczarowane lustro, zatrute jabłko czy krasnoludki. Wszystko to sprawia, że odbiorcy nie odnoszą wrażenia, jakby oglądali inną historię. Twórcy bardzo dobrze zrekonstruowali fabułę, a nawet dodali nieco smaczków, które zdecydowanie rozwijają niedopracowane wcześniej wątki. W ten sposób widzowie otrzymują wyjaśnienia, których zabrakło w bajce, a cała produkcja zyskuje.

Takie same, a jednak inne

Jeśli chodzi o wierność nowej historii wobec pierwowzoru, trzeba wskazać kilka różnic. Już na początku filmu poznajemy dzieciństwo Śnieżki, która jest wychowywana przez kochających ją rodziców, dobrych i sprawiedliwych władców, uwielbianych przez poddanych. Po jakimś czasie matka umiera, a ojciec znajduje sobie nową żonę, która później okazuje się Złą Królową. Zabieg cofnięcia w czasie jest zdecydowanie na plus, ponieważ istnieje odniesienie do wcześniejszych wydarzeń.

W oryginalnej wersji oblubieniec królowny jest księciem, a w nowej postanowiono to zmienić i zrobiono z niego rzezimieszka o imieniu Jonathan. Jest to dość ciekawa innowacja, zważywszy na to, że przeważnie obiektem westchnień w bajkach są królewicze. Choć w pierwowzorze krasnoludki miały całkiem duży udział w fabule, to w wersji live action uwagę przesunięto z nich na ukochanego księżniczki. Dzięki temu całość nabrała bardziej młodzieżowego wydźwięku, ponieważ to właśnie miłość gra tutaj pierwsze skrzypce. Rozwijająca się relacja zakochanych sprawia, że czeka się na ich pierwszy pocałunek i na szczęśliwe zakończenie, które przecież powinno w końcu nadejść...

Scena tworzenia eliksiru przez Złą Królową została świetnie wykonana, jednak sama przemiana w Staruchę nie jest tak efektowna, jak w klasycznej bajce. Charakterystyka okropnej, starej wiedźmy to po prostu słaba praca. Osoby odpowiedzialne za nią nie postarały się, bo pod warstwami makijażu da się dostrzec młodą Gal Gadot. W oryginalnej wersji czarownica jest przerażająca i tak też powinno być w filmie.

Różni się także dialog Staruchy ze Śnieżką, tuż przed zjedzeniem zatrutego jabłka. W bajce Zła Królowa kłamie, że po ugryzieniu owocu spełni się życzenie królowny, a w filmie rozmowa dotyczy ojca dziewczyny. Zmiana zaszła również w sposobie uśmiercenia czarownicy, ponieważ w oryginale ginie podczas ucieczki przed krasnoludkami, spadając z klifu w przepaść, a w nowej wersji silna magia lustra ją unicestwia.

Sposób na zatrzymanie czasu

W ogólnym odbiorze pozytywy przeważają nad negatywami. Jest to zdecydowanie kino rodzinne, a zarazem rozrywkowe. Trzeba pamiętać, że to film dla młodszych widzów i to im powinien się podobać. Przez cały czas trwania produkcji przewija się wiele żartobliwych dialogów, być może nawet niezrozumiałych dla docelowych odbiorców.

Niestety niektóre sceny czy wypowiedzi bywają żenujące, bez ładu i składu, co prawdopodobnie stanowi jeden z powodów tak niskich ocen. Samo wykonanie nie jest najgorsze. Efekty specjalne są na przyzwoitym poziomie, jednak gra aktorska mogłaby być lepsza. Tak samo kostiumy, których było po prostu za mało.

Oczywiście historia niesie ze sobą przesłanie, że wygląd to nie wszystko, bo najbardziej liczy się wnętrze. I chyba to jest w tym wszystkim najważniejsze. Widzowie powinni się dobrze bawić



Oficjalny materiał promocyjny

Uwaga na złą czarownicę!

na seansie, a nie ciągle nadmiernie analizować wszelkie szczegóły, które odejmują całości. Pielęgnujmy nasze wewnętrzne dzieci i przeżywajmy takie filmy, jakbyśmy znów byli mali!

Laura PRZYBYŁ
lauprz4@st.amu.edu.pl

Wszystko jasne w Kalifornii

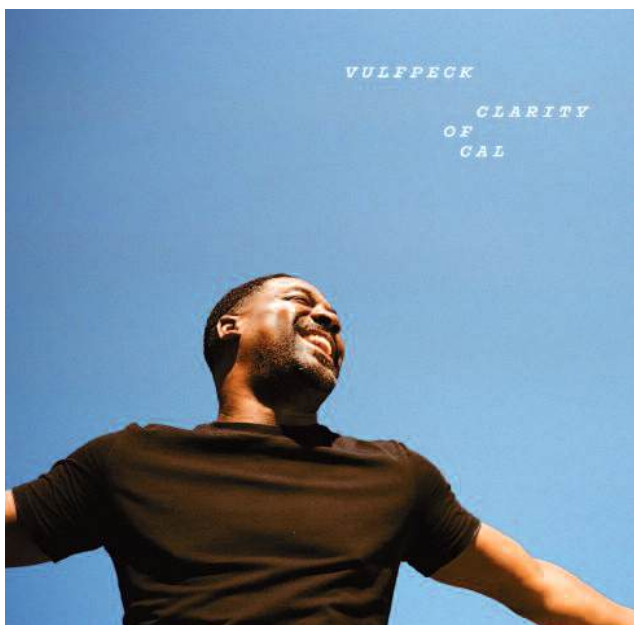
Jeśli można powiedzieć o jakiejś grupie, że najlepiej rozumiała, o co chodzi w stylu indie, to o dziwo nie będzie to zespół indierockowy, a zespół multiinstrumentalistów. Mowa o grupie z Michigan – Vulfpeck, która gra autorską mieszankę funku i jazzu. Sami nagrywają muzykę i wydają ją w ramach własnej wytwórni Vulf Records, a także organizują i opłacają trasy koncertowe, nawet jeśli czasem muszą strollować Spotify i nakłonić fanów do słuchania... własnej ciszy.

Vulfpeck to grupa, której brzmienie można najlepiej opisać jako połączenie funku i jazzu, wyróżniające się wirtuozerią instrumentalną. Najnowszy – jedenasty album „Clarity of Cal” grupy z Ann Arbor poszerza ich profil muzyczny, dodając brzmienia soulu, gospel, oraz przypominające twórczość Earth, Wind & Fire. Nowe brzmienia przenoszą słuchaczy do występu na żywo, dzięki nagrany reakcjom publiczności podczas występu w sali koncertowej Hollywood Palladium w Los Angeles. Tytuł inspirowany jest wierszem Jacka Kerouaca „October in the Railroad Earth”.

A o co chodzi ze słuchaniem ciszy? Otóż zespół poprosił fanów, by słuchali ich albumu składającego się z ciszy podczas snu, aby zarobić na trasę koncertową – miało to również na celu ośmieszenie niskich stawek Spotify za 1 odtworzenie (0,007 dolara). Szwedzki gigant streamingu ostatecznie wypłacił pieniądze grupie, mimo iż starał się zrobić wszystko, by nie wypłacić Vulfpeckowi ani centa.

Magia lat 70.

„Clarity of Cal” to album, wyróżniający się ciepłym, soulowo-gospelowym brzmieniem, którego inspiracji nie sposób nie



Na okładce znalazł się jeden z gościnnych muzyków, Antwaun Stanley

doszukać się w latach 70. oraz nagraniach z Motown. Nowe horyzonty wytycza otwierający „Big Dipper”, który płynnie przechodzi w „Matter of Time”. Oba utwory stanowią naprawdę solidne otwarcie albumu. Przewodnią rolę będą odgrywać na nim takie instrumenty jak organy, fortepian czy saksofon. Nastrojowo wybrzmiewa traktujący o życiowym zagubieniu „Can You Tell”, będący jednym ze spokojniejszych momentów albumu, podobnie jak piąty „Tender Defender”, będący piosenką miłosną. Przeciwnością tych dwóch utworów jest natomiast pełny dyskotekowej energii i brzmienia Earth, Wind & Fire „In Real Life”.

Zespół z Ann Arbor wykazał się także humorem, tworząc inspirowany kradzieżą Mona Lisy z 1911 roku utwór „La Gioconda”, w którym gościnni wokaliści Antwaun Stanley i Jacob Jeffries wcielają się w rolę Eduardo de Valfierno i Vincenzo Peruggia, czyli odpowiednio pomysłodawcy oraz wykonawcy kradzieży dzieła Leonarda da Vinci z Luwru. Komizmu dodaje

maniera wokalna obu piosenkarzy rodem ze starej kreskówki. Wpływa na niego też odgrywana podczas koncertów scena kradzieży obrazu (dopełniona instrumentalnym utworem „The Heist”), którą można zobaczyć w filmie opublikowanym na oficjalnym kanale zespołu. Podobnie zabawny jest niemal musicalowy „This Is Not the Song I Wrote”, który stanowi satyryczne spojrzenie na kwestię sporów o prawa autorskie w muzyce, zwłaszcza w okresie popularności TikToka lub Instagrama.

Stara instrumentalna maestria

W trakcie nagrywania „Clarity of Cal” grupa Vulfpeck polegała również na udziale gościnnych muzyków. W czasie sesji nagraniowych wystąpili nie tylko wspomniani wyżej Antwaun Stanley i Jacob Jeffries, ale także Cory Wong, Woody Goss, Charles Jones i Joey Dosik. Wnieśli oni znakomite partie wokalne i instrumentalne, jak w przypadku pojawiających się na całym albumie partii saksofonu Dosika czy gitarowego solo Wonga w „This Is Not the Song I Wrote”.

Również sam zespół wykazał się maestrią w grze na własnych instrumentach, tworząc będące sztandarowym elementem brzmienia grupy utwory instrumentalne, takie jak „Memories” czy „Aug 26”. Na szczególne wyróżnienie zasługuje „New Beastly”. Jest to nowa wersja „Beastly” pochodzącego z debiutanckiego albumu grupy, na którym basista grupy Joe Dart pokazuje niesamowity poziom gry na swoim instrumencie, zaskakując słuchaczy nagłymi zmianami tempa i szybkością, z jaką potrafi skakać po gryfie swojego basu. Udowadnia przy tym, że nie bez powodu jest uznawany za jednego z najlepszych basistów na rynku muzycznym.

„Clarity of Cal” to album, na którym z pewnością czuć świeżość mimo nawiązań do brzmień sprzed lat. Trudno znaleźć tu słabe momenty, utwory cechują się naprawdę wysokim poziomem. Z kolei zastosowanie koncertowych nagrań sprawia, że ma się wrażenie siedzenia na trybunie. Ten krążek jest świetny na początek przygody z grupą, która sławę zawdzięcza nie tylko trollowaniu Spotify, ale przede wszystkim muzyką na najwyższym poziomie.

Bartosz KABACIŃSKI
barkab1@st.amu.edu.pl

Pretty Woman, ale to nie Hollywood

Co jeśli historia naprawdę lubi się powtarzać? Co możemy zrobić dzisiaj, żeby nie dopuścić do kolejnych wielkich tragedii minionego wieku? Jak opowiadać o wspólnej przestrzeni, aby jeszcze bardziej jej nie dzielić? Dokąd zaprowadzić nas mogą nieświadomie powielane frazy polaryzujące społeczeństwo? „Pigmalion” to spektakl, na którym warto mieć zapięte pasy. Pytanie jednak brzmi, czy to nie twórcy za bardzo odlecieli?

Pigmalion to element pojawiający się w kulturze od wieków. Od greckiej mitologii, przez filmową adaptację sztuki George’a Bernarda Shawa. Najpierw w „My Fair Lady” z Audrey Hepburn, a później w luźno nawiązującym do niej „Pretty Woman” z Julią Roberts, aż po marcową premierę w Teatrze Polskim. Akcja tej ostatniej, o wiele bardziej znużającej niż jej hollywoodzkie poprzedniczki, osadzona jest w polskiej dystopijnej przyszłości. Całkiem niedalekiej pod względem czasu i przestrzeni, bo w Poznaniu w roku 2035. Wówczas kraje Unii Europejskiej postanowiły deportować wszystkich imigrantów ze swojego terytorium. Liberalna rodzina inteligentów postanawia w ramach strajku nie opuszczać mieszkania.

Zrobimy z ciebie jedną z nas

Pewnego wieczoru, pani domu Katarzyna (Ewa Szumska) przeprowadza do mieszkania ukrywającą się wcześniej w piwnicy imigrantkę z Ukrainy – Elizawietę (Alona Szostak). Domownicy postanawiają jej pomóc zapewniając schronienie, podczas gdy atmosfera na zewnątrz jest coraz bardziej napięta, a nastroje antyukraińskie doprowadzają do brutalnych zamieszek i tragedii. Odwiedzającym ich sąsiadom Katarzyna przedstawia kobietę jako swoją ciotkę. Wojtek (Paweł Siwiak) – pan domu – ze względu na swoje logopedyczne doświadczenie proponuje nauczyć Elizawietę mówienia bez akcentu, tak aby mogła wiarygodnie udawać ich krewną.

Nowa osoba w rodzinie okaże się elementem dynamizującym relacje między bliskimi, zarówno w sprawach pomiędzy małżonkami, jak wobec ich córki Kaliny (Aleksandra Samelczak). To głos najmłodszego pokolenia, przejawiającego skłonności konserwa-



Dokąd mogą nas zaprowadzić nieświadomie powielane frazy polaryzujące społeczeństwo?

tywne i nacjonalistyczne, wprost nazwane na scenie faszystowskimi. Zarówno jej jednostkowa postać, jak i szeroka grupa imigrantów objęta represjami, zdaje się w jasny sposób przedstawiać teorię cykliczności historii, ukazując tym samym jej paradoks.

Element zaskoczenia

Warstwa artystyczna spektaklu nie pozwala przejść obojętnie, biorąc pod uwagę unikatowe rozwiązania scenografii, za którą odpowiada Roman Tratsiuk, oraz kostiumy przygotowane przez Taszę Katsubę. Już od pierwszej sceny uwagę przykuwa kanapa zrobiona z opon, będąca centrum codziennego życia domowników. Jednocześnie zdaje się mieć wymiar profetyczny, jeśli chodzi o prognozy na nadchodzące w najbliższej dekadzie trendy w designie. Wyjątkową rolę zagrały także mocne kolory, nie bez powodu często niebieski przeplatał się z żółtym. Ubrania bohaterów korespondowały z elementami scenografii, niekiedy współgrając, innym razem kontrastując ze sobą. Osadzenie akcji w przyszłości

więzało się z podniesieniem poziomu technologii, która przejawia się choćby w uprawianym przez córkę hobby, jakim jest obsługa dronów. Zgodnie z obecną modą we współczesnym teatrze, twórcy „Pigmaliona” zdecydowali się na skorzystanie ze środków intermedialnych, włączając w sztukę elementy wizualne nagrywane na żywo na scenie i transmitowane na zawieszonych nad nią ekranach.

Groteska i absurd wybrzmiewa w sztuce Ilynczyka i Błazewicza na różne sposoby. Pierwszym z nich jest język, zbudowany na kontekstach zaczerpniętych z obecnej popkultury. Dokonując jego dekonstrukcji albo komplikując o kolejne warstwy intertekstualne, stwarza się osobliwą formę porozumiewania się, w której zatarty się dawne znaczenia. W ich miejsce pojawiły się nowe, tym samym zmieniając czy wręcz zniekształcając rzeczywistość. Elementy scenografii stopniowo nadbudowują atmosferę groteski. Wprowadzane co jakiś czas, z początku bawią lub szokują widza, aż wreszcie wytrącają go z komfortowego myślenia o spektaklu, potęgując wrażenie nieprzewidywalności. Ukrycie się Katarzyny w ogromnej galarecie pod pretekstem performansu podczas wizyty sąsiadów, wywołuje wśród publiczności zarówno śmiech, jak i konsternację.

Oklaski i co dalej?

Fabula poprowadzona jest spójnie i do pewnego stopnia konwencjonalnie, co jeszcze mocniej uwypukla efekt nadany poprzez absurdalne elementy. Tekst jest sprawny, a dialogi dość naturalne, choć w niektórych momentach dłużej się lub stają nieco drętwe. Grę aktorską nie bez powodu podczas premiery publiczność nagrodziła owacjami na stojąco. Popkulturowe smaczki oraz ich inteligentna prześmiewczość nadają całości niebanalnego humoru, a nawiązania do pierwotnego, jak i wtórnego, wytworzonego przez kulturę motywu Pigmaliona, są błyskotliwe i przemyślane.

Być może część polskiej bądź ukraińskiej czy białoruskiej publiczności poczuje się dotknięta sposobem przedstawienia rzeczywistości, którą – co przerażające – nie tak trudno sobie dzisiaj wyobrazić. Z pewnością jednak może przyczynić się to do pogłębienia dyskusji nad nadrzędnymi dla ludzkości wartościami, takimi jak równość, pokój czy różnorodność. Jednocześnie mogą one spowodować podjęcie praktycznych działań na rzecz zmniejszenia dyskryminacji na tle narodowościowym w Polsce.

Joanna DĄBROWSKA
joadab6@st.amu.edu.pl

Rodzina jak pokrzywka

O przedziwnej bliskości, jaka oscyluje pomiędzy czułością a bólem. Weronika Gęsicka zaprasza nas do fotograficznego świata pełnego skomplikowanych uczuć, marzeń i złudzeń. Wystawa na temat rodziny, będącej źródłem ukojenia, ale i piekielnego swędzenia. Dokładnie tak jak tytułowa pokrzywka – punkt wspólny wielu relacyjnych historii, które większość z nas tak dobrze zna, choć pewnie nie wszyscy chcieli je przeżyć.

Gęsicka powróciła do Galerii Fotografii p.f. poznańskiego Centrum Kultury Zamek, prezentując projekty z dwóch serii, starszej „Traces” (2015–2017) oraz nowszej „Cliffhanger” (2019–2023).

Pomimo że tematyka rodzinna i motyw domu często są poruszane przez twórców, artystka odkrywa je na nowo za sprawą kompilacji z pozoru banalnych fotografii przy wykorzystaniu zniekształceń oraz kolaży.

Fotografka aranżuje moment zawahania, gdy przychodzi czas na zmierzenie się z interpretacją obserwowanych prac. Chwila ciszy wiąże się z próbą zrozumienia, dlaczego z pozoru tak proste w swoim kształcie dzieła stanowią niemałe wyzwanie przy deszyfracji ukrytych znaczeń. Pozwalając sobie na moment introspekcji, możemy odnaleźć w nich siebie.

Kula u nogi

Bądź co bądź nie chcemy odczuwać niewygod. Gęsicka odważnie ujawnia to, czego tak bardzo się boimy. Tego, że zosta-

niemy odsłonięci, a „brudy”, które mieliśmy pracować we własnych ścianach, wyjdą na jaw przed całym zainteresowanym nimi światem. Tym samym można mówić o ujawnieniu domowego miru czy intymności, co za wszelką cenę większość z nas chciałaby zachować dla siebie. Niestety nie w tym przypadku. – Ludzie na zdjęciach wydają się jeszcze zawieszani w błogostanie, ale to, co do nich zmierza, zdaje się nieuniknione – opowiada Katarzyna Sagatowska, kuratorka wystawy.

Artystka w wybitny sposób łączy humor z niepokojem. Przedstawione sceny rodzinne sprawiają wrażenie sielankowych, przepełnionych miłością, a nade wszystko – pełnych bliskości. A jednak coś tu nie gra. Tak wiele w fotografiach Gęsickiej jest niejednoznaczności, przemawiających nieczym bariery wcześniej – pozornej – harmonii i szczęścia. Wszystko to widzimy w formie statycznych obrazów, ale możemy mieć poczucie, iż zetknęliśmy się właśnie z wielowątkową produkcją audiowizualną.

„Emocjonalne stany graniczne”

Manipulowanie fotografiami przez Gęsicką, choć – trzeba przyznać – jest dość groteskowe, zdecydowanie wydobywa na wierzch głęboko schowane i nierzadko niechciane uczucia. Emocje wywoływane przez artystkę są bardzo silne i wyjątkowo ambiwalentne. – Gęsicka przygląda się emocjonalnym stanom granicznym, opowiada o ryzyku, jakie wiąże się z bliskością. Jak w tytułowej okrutnej zabawie, zbyt mocny uścisk może sprawić przykrość czy ból – mówi Katarzyna Sagatowska.

Zbiór projektów Weroniki Gęsickiej można oglądać w Galerii Fotografii p.f. w Centrum Kultury Zamek do 1 czerwca 2025 roku.

Weronika GROCHALSKA
wergro5@st.amu.edu.pl



Zawsze taki szczęśliwy?

Oficjalny materiał promocyjny

Szesnaście lat od polskiej premiery części pierwszej, pięć lat od wydania w Polsce ostatniego tomu. Witamy z powrotem w Dwunastce, tęskniliście? Fani „Igrzysk śmierci” 18 marca dostali kolejną przepustkę do świata Panem, tym razem widzianego z nowej perspektywy – oczami Haymitcha Abernathy’ego. Cofamy się w czasie, a mentor Katniss nie jest jeszcze cynicznym i zmęczonym życiem dorosłym mężczyzną, a szesnastoletnim chłopakiem. Budzi się w swoje urodziny, będące jednocześnie dniem dożynek. „Wszystkiego najlepszego, Haymitch!” – wykrzykuje na dzień dobry jego młodszy brat. Można się domyślić, że to początek końca ich mikrokosmosu.

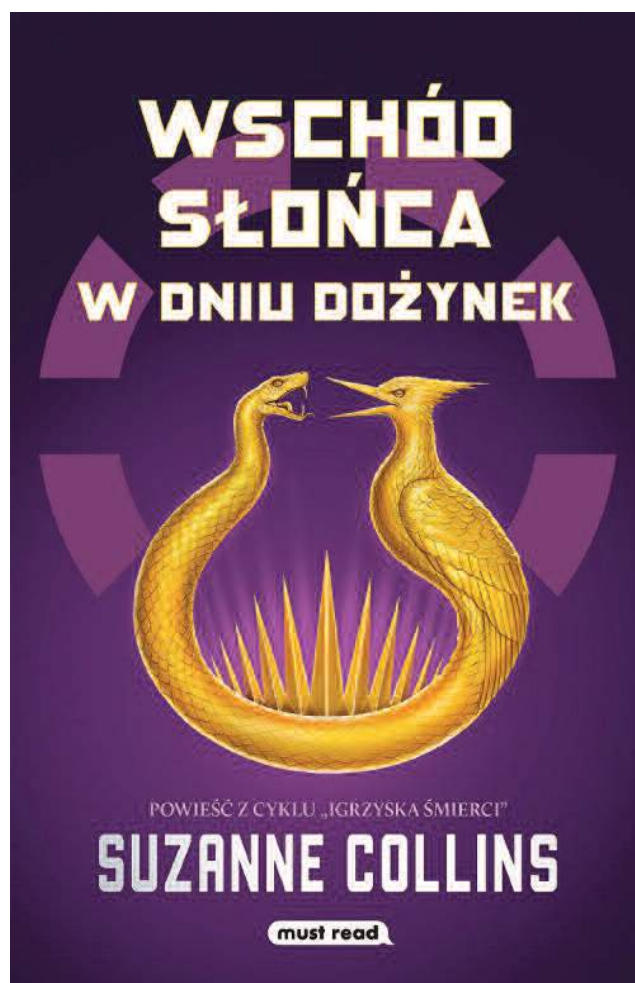
„Wschód słońca w dniu dożynek” to piąta powieść z cyklu „Igrzyska śmierci” autorstwa Suzanne Collins. Przedstawia ona historię Haymitcha – postaci kontrowersyjnej już od pierwszej części, nie zawsze rozumianej przez resztę bohaterów, w tym Katniss. Czytelnicy poznali go jako brzuchatego mężczyznę, który „jest pijany, i to bardzo”. Wygrał igrzyska, ale nikt do końca nie wie, jak tego dokonał. On sam niewiele mówi o swojej przeszłości. Nie wydaje się też dobrym materiałem na mentora. Dopiero z biegiem czasu Haymitch przeszedł przemianę, zdobył swoim podopiecznym sponsorów, zdaje się, że zaczęły go obchodzić ich losy. Teraz Collins serwuje czytelnikom nową perspektywę, a wraz z nią zasłużone wyjaśnienia. Kim był Haymitch, jak wygrał igrzyska i dlaczego stał się, kim się stał?

Powstrzymać wschód słońca

Haymitch Abernathy – syn, starszy brat, szesnastoletni chłopak, szczęśliwie zakochany w dziewczynie z trupy. Zwykły nastolatek zmuszony co roku przygotowywać się do dożynek, jak każdy inny. To już drugie Czwierćwiecze Poskromienia, w tym roku zostanie wybranych dwa razy więcej trybutów, żeby uczcić kolejną rocznicę zwycięstwa Kapitolu nad buntownikami. Trzeba przypominać mieszkańcom dystryktów, że „BEZ KAPITOLU NIE MA POKOJU”. Nigdy nie mogą o tym zapomnieć. Haymitch pracuje przy produkcji bimbru (choć nie pije alkoholu) oraz pomaga matce w domu. Tym razem wyjątkowo odkłada zadania domowe na później. Najpierw chce spotkać się z Lenore Dove, napelni zbiornik z wodą później, aby matka mogła wykonać pranie, będzie na to czas. Dziewczyna nie rozumie, dlaczego dożynki nadal trwają, marzy o tym, żeby je powstrzymać. Czy kiedyś słońce wzejdzie nad światem, w którym ich nie ma?

Lenore nie zostaje wylosowana, dwie inne dziewczyny tak. Wybucha zamieszki, ginie chłopak – nie dowie się o tym nikt z in-

„Pij, nieszczęsny, pij”



Dystrykt Dwunasty wita po raz kolejny

nych dystryktów, ekipa filmowa dba o propagandowy przekaz. W telewizji zobaczyć można spokojnie przebiegające losowanie. Haymitch nie ma szczęścia, zostaje trybutem, zastępując chłopaka, który zginął. „I niech los zawsze wam sprzyja!” Kto napelni zbiornik z wodą?

Haymitch od początku jest pechowym trybutem. Okazuje bunt wobec władzy, wielokrotnie stawia się prezydentowi, jednak jego poczynania na niewiele się zdają w świecie, w którym każdy przekaz medialny jest starannie edytowany i nie pokazuje nic poza wielkością i potęgą władzy. Nawiązuje sojusze, powoli buduje więzi i

nie poddaje się mimo okrucieństw, które spadają na niego z ręki prezydenta. Udaje mu się pozostać w pamięci widzów i sponsorów jako łobuz i pierwszy w historii trybut, który zdobył jeden punkt podczas pokazu talentów. Organizatorzy go nie lubią. W oczach buntowników maluje się jako idealny kandydat na twarz rewolucji. Zostaje wtajemniczony w plan zniszczenia areny. Czytelnikom przypomina się akcja „W pierścieniu ognia”. Haymitch miał zostać symbolem buntu, tak jak później Katniss. Do tego zadania nie wystarcza jednak same chęci, trzeba mieć jeszcze trochę szczęścia.

Nevermore!

Collins skupia się na propagandzie i jej wpływie na poddanych władzy obywateli. Przywołuje słowa Jean-Jacques’a Rousseau: „Człowiek rodzi się wolny, a wszędzie jest skuty łańcuchami”. Maszyna propagandowa Snowa działa bez zarzutów, Haymitch nie ma z nią szans, każda jego próba kończy się porażką. Widzimy przebieg ludzkiej tragedii, to nie jest historia z happy endem, nie na tym etapie. Haymitch zwycięża igrzyska, przekonany o swojej rychłej śmierci, do której jednak nie dochodzi. Czasem śmierć nie jest najgorszą karą, więc zwycięzca zostaje skazany na życie. Wyniszczony, zaczyna pić, odtrąca przyjaciół i opada z sił. Boi się ducha Lenore Dove, powoduje nim wstyd. Nie powstrzymał wschodu słońca w dniu dożynek, skapitulował.

Autorka przeplata z akcją powieści wiersz „Kruk” Edgara Allana Poe’a, który w polskiej wersji językowej czytamy w tłumaczeniu Jolanty Kozak. Haymitch poznał go dzięki Lenore, jest dla niego ważny, bo występuje tam jej imię. Wiersz koresponduje z losami bohatera. Haymitch utknął we własnym więzieniu, w spirali myśli i chęci odcięcia się. „Pij, nieszczęsny, pij nepenthes, i zapomnij o Lenore! Kruk mi na to: Nevermore!”. Pił, chociaż nigdy nie zapomniał.

„Wschód słońca w dniu dożynek” to kolejny prequel, który jest nie tylko nostalgiczną podróżą dla fanów cyklu, pełną znanych już postaci, ale także wzbogaceniem treści i swoistą „obroną” Abernathy’ego. Pojawiają się kłótnie uwagi i zapytania czytelników, ile jeszcze różnych perspektyw dostaniemy oraz gdzie jest granica między dobrą kontynuacją a „odgrzewanym kotłem”. Na razie jednak nie wydaje się, żeby ta granica została przekroczone. Ciekawie jest spojrzeć na Haymitcha z zupełnie nowej strony, dostrzec jego tragedię i zrozumieć jego postać. Przypomina swoją odwagą Katniss. Jak się okazuje, łączą go pewne doświadczenia nawet z Coriolanusem Snowem. Gdyby tylko los trochę bardziej mu sprzyjał... Ostatecznie odnajduje w sobie wystarczająco siły, aby ponownie otworzyć się na ludzi. Opowiada Katniss i Peetie o swoim życiu, pierwszej właścicielce broszki z kosogłosem, a także o Lenore Dove. Jej nigdy nie utraci. Kruk zakrakał, „Nevermore!”.

Karolina KUBIAK
karkub20@st.amu.edu.pl

20 lat temu, w odległej galaktyce...

Dwie dekady po premierze „Zemsta Sithów” powróciła na ekrany kin. Kultowy trzeci epizod po raz kolejny zabrał fanów świata Gwiezdných Wojen w jedne z najlepszych i najbardziej ikonicznych momentów sagi. Co jednak najważniejsze, mogliśmy ponownie doświadczyć wirtuozji w wykonaniu George’a Lucasa, tej pokochanej przez widzów, a której powrotu niestety nie widać nawet w odległej galaktyce.

Rocznica ostatniej części trylogii prequeli „Gwiezdných Wojen” to niezwykle wydarzenie. To kultowe dzieło jest bowiem pewnego rodzaju „rdzeniem” sagi. Możemy ujrzeć w nim narodziny Dartha Vadera, czyli wielką przemianę Anakina Skywalkera – Rycerza Jedi, który wpadł w sidła imperatora, walcząc o swoją miłość. „Zemsta Sithów” to również film, z którego pochodzi ikoniczna scena Obi-Wana Kenobiego wypowiadającego popularne „Hello there”. Podobnie jak fragment jego pamiętnej walki z Anakinem na Mustafar – momentu będącego punktem kulminacyjnym zatracenia się Skywalkera. W końcu to epizod, w którym narodzili się kluczowi bohaterowie oryginalnej trylogii – Luke i Leia. To również ostatnia część sagi z udziałem samego George’a Lucasa, jeszcze przed sprzedażą Lucasfilm. Po niej idea twórcy zanikła bezpowrotnie, a moc opuściła nowych producentów. Zatem to nie tylko zwyczajna rocznica premiery filmu. To dwudziestolecie ostatnich prawdziwych Gwiezdných Wojen.

Chwila zatracenia i zapomnienia

Obejrzenie „Zemsty Sithów” na wielkim ekranie to piękny moment dla każdego fana sagi. Dźwięk mieczy świetlnych czy znakomita oprawa muzyczna to coś, co trzeba przeżyć na sali kinowej. Wielbiciele produkcji Lucasa z pewnością długo czekali na możliwość doświadczenia jej ponownie lub po raz pierwszy. Powrót filmu do kin to ciekawe przeżycie również dla przedstawicieli młodego pokolenia. W większości nie mieli oni możliwości udziału w premierze. Dlatego była to dla nich świetna okazja do pocucia prawdziwego ducha Gwiezdných Wojen. Wiadomo, że inaczej przeżywamy historie wyświetlane na ekranie w domowym zaciszu, a inaczej na sali kinowej, z profesjo-



Wybraniec z tej strony mocy

nalnym nagłośnieniem i bez zbędnych rozpraszaczy. Zatem wsłuchanie się chociażby w pierwszy oddech Dartha Vadera, to z pewnością coś, co zapadło w pamięć każdemu. Fani mogli być zadowoleni z powrotu kunsztu Lucasa na wielkie ekrany nie tylko z powodu niezapomnianych kinowych przeżyć. Już dawno nie było dane im doświadczyć Gwiezdných Wojen opartych na pierwotnych założeniach twórcy. Nowe produkcje często nie spotykają się z uznaniem widzów. Dlatego po-

wrót do kin jednej z kultowych części sagi był świetną odskocznią od obecnych projektów.

Coś więcej niż jubileusz

Okrągła rocznica premiery trzeciego epizodu to przede wszystkim ciekawe doświadczenie dla sympatyków Gwiezdných Wojen. – Mimo że nie jestem największym fanem uniwersum, to z ogromną chęcią obejrzę „Zemstę Sithów” w kinie. To część, która zdecydowanie jest moją ulubioną – stwierdza Michał, sympatyk sagi. – W związku z moim wiekiem nie miałem możliwości pojawić się świadomie na premierze, a dzięki temu wydarzeniu mam możliwość poznania filmu w innym wymiarze. Inne nagłośnienie, inna jakość i zupełnie inny klimat. Jestem na tak dla powrotów wielkich tytułów do kin – dodaje. – Powrót „Zemsty Sithów” na wielkie ekrany dla wielu miłośników Gwiezdných Wojen jest czymś miłym. Tym bardziej dla młodszych fanów, takich jak ja, którzy nie mieli okazji obejrzeć jej premierowo – dzieli się swoimi doświadczeniami Klaudiusz, miłośnik uniwersum. – Ostatnia część prequeli, w której nadchodzi kres moich ulubionych Wojen Klonów, najciekawszego, co udało się George’owi Lucasowi, to naprawdę fascynujące zwieńczenie trylogii. Cieszę się, że takie wydarzenia są organizowane z okazji jubileuszy. Śmiało można stwierdzić, że marka robi wiele dla swojej fanbazy – dodaje. – Bardzo się cieszę, że ponownie istnieje możliwość obejrzenia trzeciej części w kinie – dodaje Radek, fan „Zemsty Sithów”. – Mój entuzjazm wynika być może z kwestii wykorzystania świetnych efektów specjalnych, które do dziś wywierają na mnie ogromne wrażenie. Może to też dzięki świetnemu doborowi aktorów czy genialnie skomponowanej przez Johna Williamsa muzyce, która potrafi utrzymać w napięciu. Oprócz tego istotny jest jeszcze aspekt fenomenalnej choreografii, scen bitew oraz walk na miecze świetlne. Nie mogę się doczekać! – przyznaje. Thumy widzów w salach kinowych i szum wokół rocznicy „Zemsty Sithów” to przykład tego, jak wielką i oddaną społeczność stanowią fani świata George’a Lucasa. To również pewnego rodzaju hołd dla starych Gwiezdných Wojen, które rozkochały w sobie widzów i zapewniły dalszy rozwój uniwersum. Celebryjacje jednak wcale się nie kończą. Będzie 4 maja – uznanego za Międzynarodowy Dzień Gwiezdných Wojen – fani z pewnością będą je kontynuować. May the 4th be with you!

Wiktoria JESIONKA
wikjes@st.amu.edu.pl

Czas na zmiany

Trend, który powrócił ze zdwojoną siłą oraz istotnym przekazem. Fenomen, który wrócił albo nigdy nie wygasł. Próba odgadnięcia genezy utożsamiania się z literacką postacią oraz bohaterkami popowych piosenek sprzed lat. Mowa o trendzie na #judytowanie.

Będąc aktywnymi odbiorcami kultury, nie raz w otaczającym nas świecie słyszeliśmy wzmianki o Katarzynie Grocholi lub jej twórczości. W 2024 roku za pośrednictwem social mediów jej słynny debiut literacki – „Nigdy w życiu!” – powrócił do świata popkultury na tyle mocno, że echo tego przeboju odczuwamy do dziś. Co może być przyczyną tego zjawiska? Czy odbiorcy są świadomi genezy stwierdzeń, z których korzystają?

Wszystko zaczęło się w 2001 roku, kiedy Katarzyna Grochola zadebiutowała literacko powieścią „Nigdy w życiu!”. Tekst stał się wręcz fenomenem wśród czytelników i niedługo później, bo w 2004 roku, doczekał się ekranizacji. 20 lat później, dokładnie w 2024 roku, przeżyliśmy wielki powrót tego utworu do klasyki. W social mediach „#judytowanie” stało się ogólnie panującym trendem, końca którego nie widać. Co właściwie kryje się za tym zjawiskiem i ponowną fascynacją?

Skąd to całe zamieszanie?

„Nigdy w życiu!” to historia Judyty, która mając 37 lat, zostaje porzucona przez męża dla młodszej kobiety. Wraz ze swoją nastoletnią córką szuka nowego sposobu i planu na życie. Na pozór bardzo zwyczajna historia, z którą pewnie każdy z odbiorców się spotkał. Historia głównej bohaterki mogła stać się tak ikoniczna, ponieważ pokazuje zwyczajną prozę życia. Judyta postanawia się nie poddawać – pomimo przeciwności losu i dojrzałego wieku buduje dom na podwarszawskiej wsi i szczęśliwie się zakochuje. „Nigdy w życiu!” to urzeczywistniona wersja historii z bajek Disneya. Zeszłoroczna fascynacja rozpoczęła się od rozpromowanie playlisty na platformie streamingowej Spotify o chwytliwym tytule „40-letnia rozwódka zmienia swoje życie”. Zawarte są w niej popowe utwory, które zajmowały radiowe listy przebojów w latach 2000-



Judyta słuchałaby tych piosenek

2010. Piosenki opowiadające o burzliwych związkach lub głęboko przeżywanych rozstaniach, namiętnie puszczane w radiu w czasie naszego dorastania. Oznacza to, że dla kobiet pomiędzy dwudziestym a trzydziestym rokiem życia wszystkie utwory na owej liście są wręcz jak szlagiery. Słynna playlista nawiązuje do głównej bohaterki powieści „Nigdy w życiu!”, ponieważ utwory są z nią utożsamiane – głównie ze względu na jej przeżycia. Sama autorka zbioru, Kaśka Zumska, zgrabnie przeniosła postać Judyty do tytułu i ustawiła kadr z filmu z Danutą Stenką na okładce albumu. Ilu jed-

nak odbiorców pochyliło się nad genezą zjawiska, z którym mamy obecnie do czynienia? Poziom popularności, a co za tym idzie liczby wyświetleń tej playlisty, był tak duży, że sama platforma streamingowa Spotify postawiła na niespodziewany ruch. Mianowicie: Spotify często tworzy zbiory utworów kierowane algorytmami analizującymi, czego słuchamy, i odpowiadającymi nam podobne treści. Jednak czasami dodaje składanki z tytułami związanymi z czynnościami, przy których słucha się muzyki, opisującymi atmosferę, nastrojów i moment. A kiedy przyszła wiosna, właściciele strony dodali składankę o tytule: „Judytowanie”. Oczywiście, playlista dodana przez platformę nie ma takiego popytu jak oryginalna. Podobnie jak wszystkie nowopowstałe – nie są w stanie dogonić popularności swojego pierwowzoru. Pomimo tej samej idei, czyli dodawania piosenek, których prawdopodobnie słuchałaby Judyta, kiedy zmieniała swoje życie.

Zmieniam swoje życie!

Obecnie jesteśmy świadkami rozkwitu kobiet w społeczeństwie i walki o ich widoczność. Historii kobiet, które odegrały istotną rolę w dziejach świata, jest przedstawianych coraz więcej. Na szeroką skalę mamy do czynienia ze zjawiskiem „herstorii”, czyli opowiadania losów z perspektywy feministycznej, z uwzględnieniem dziejowej roli kobiet. W social mediach hasztagu „judytowanie” używa się przy treściach związanych z odważnymi, życiowymi decyzjami. Judyta stała się popkulturowym archetypem niesamowicie silnej kobiety, która pomimo bycia porzuconą przez męża stawia na swoim i spełnia wszystko, o czym zamarzy. Większość z nas bierze takie postacie za wzór do naśladowania, do podążania własną drogą ku spełnieniu, nie sugerując się tym, co inni chcieliby, żebyśmy zrobili. „Nigdy w życiu!” jest przykładem bestsellera literackiego, który oprócz przyjemnej i ponadczasowej historii dał nam siłę. Książka kobiety o kobiecie i dla kobiet. Chociaż znaczna część odbiorców to nie mające 40 lat rozwódki, większość chce być jak Judyta. Opowiadać swoją własną historię głośno, z siłą i wierzyć, że uda nam się wszystko, co tylko zapagniemy. W każdym wieku. Bo ten nie ma znaczenia, gdy jesteśmy silni, wierząc w samych siebie. Jagoda CZERWIŃSKA jagcze4@st.amu.edu.pl

U boku prezydentów

Instytucja pierwszej damy formalnie nie istnieje w polskim systemie politycznym. Jest to rola zwyczajowa, nie wiąże się z nią żadne obowiązki określone prawnie. Obarczona jest jednak dużymi oczekiwaniami społecznymi. Małżonki prezydentów pełnią role reprezentacyjne zarówno podczas wizyt międzynarodowych, jak i krajowych. Często angażują się w działalność charytatywną, obejmując patronat nad różnymi wydarzeniami, zabierają głos w ważnych sprawach społecznych. Warto przyjrzeć się temu, jakie znaczenie odgrywają w prezydenturze swoich mężów i przed jakimi stoją wyzwaniem.

Sam tytuł „pierwsza dama” jest kalką językową od angielskiego „first lady”. Żony prezydentów w okresie II RP nazywano po prostu „prezydentowymi”. Inną formą, używaną m.in. na stronie internetowej Kancelarii Prezydenta RP, jest „Małżonka Prezydenta”. Nieważne, jak będziemy je nazywać, wiemy, o kim mowa: Barbara Jaruzelska (pełniła rolę pierwszej damy w latach 1989-1990, na przełomie PRL-u i III RP), Danuta Wałęsa (1990-1995), Jolanta Kwaśniewska (1995-2005), Maria Kaczyńska (2005-2010), Anna Komorowska (2010-2015) oraz Agata Kornhauser-Duda (od 2015).

Zmiana o 180 stopni

Rozpoczęcie prezydentury wiąże się ze zmianą codzienności całej rodziny prezydenta. Przeprowadzka, zakończenie działalności zawodowej, utrata prywatności – między innymi na to musiały zgodzić się żony prezydentów-elektów.

Wszystkiego można się w życiu nauczyć – nawet skomplikowanych protokołów dyplomatycznych czy przemawiania przed tłumami. Bohaterki tego artykułu z pewnością popełniły niejedną gafę, zanim przyswoiły wszystkie zwyczaje i nauczyły się zasad panujących w świecie wielkiej polityki. Jolanta Kwaśniewska na początku prezydentury męża nie zawsze ubierała się stosownie do okazji. Taka sytuacja miała miejsce na przykład podczas spotkania z królową Elżbietą II w 1996 roku, kiedy to żona prezydenta wystąpiła w brokatowej, iście sylwestrowej, kreacji. Z kolei Maria Kaczyńska była często określana jako zbyt troskliwa wobec męża. Zdawało się, że małżonka prezydenta nie przeszkadzały takie słowa, potrafiła obrócić je w żart. W 2006 roku media wychwyciły moment, kiedy przed odlotem samolotu Maria Kaczyńska dostarczyła mężowi pakunek w foliowej reklamówce. Szymon Majewski insynuował, że był w niej domowy lunch dla prezydenta. W odpowiedzi pierwsza dama wysłała satyrykowi podobną paczkę z kanapkami.

Teoretycznie żony prezydentów RP nie mają prawnego zakazu podejmowania pracy zawodowej. Niewiele jednak osób wyobraża sobie, aby pierwsza dama miała chodzić do pracy jak każda inna osoba. – Poza tym, że trzeba by zapewnić ochronę, w miarę dyskretną, to nie widzę problemu, dla którego małżon-



To właśnie Pałac Prezydencki staje się nowym domem dla pierwszych dam

ka prezydenta nie miałaby być aktywna zawodowo – uważa profesor UAM dr hab. Paweł Stachowiak, historyk i politolog. – Myślę, że jest to frustrujące dla niektórych z nich – dodaje.

Frustrację może potęgować fakt, że z tytułu bycia żoną prezydenta, kobietom nie przysługuje żadne wynagrodzenie. Politycy podejmowali próby uregulowania prawnego statusu pierwszej damy (m.in. pomysł zatrudnienia Jolanty Kwaśniewskiej w roli doradcy prezydenta czy też plany PiS-u na wprowadzenie pensji o wartości 55% wynagrodzenia prezydenta), lecz projekty nie dochodziły do skutku. Gwarancja opłacania ubezpieczeń społecznych dla żony prezydenta weszła w życie dopiero w 2021 roku. Co ważne, regulacją objęto też pierwsze damy poprzednich kadencji.

W cieniu mężów?

Profesor Stachowiak wskazuje, że w Polsce małżonki prezydentów nie mają statusu osobnych podmiotów politycznych w przeciwieństwie na przykład do amerykańskich „first ladies” – Hillary Clinton czy Michelle Obamy. – U nas musimy się domyślać, czy pierwsze damy mają odrębne zdanie od swoich mężów. Żadna z nich nie była też samodzielną polityczką. Mimo własnych talentów i wielu możliwości są raczej dodatkiem do pozycji politycznej prezydenta – wyjaśnia.

Niektóre z pierwszych dam bardziej angażowały się w życie publiczne, inne mniej. – Jeżeli weźmiemy pod uwagę okres po transformacji ustrojowej, czyli po 1989 roku, myślę, że konserwatyzm polskiego społeczeństwa odgrywał dość istotną rolę w statusie małżonki prezydenta. Żona generała Jaruzelskiego nie była obecna w przestrzeni publicznej. Danuta Wałęsa podczas trwania kadencji również nie wykazywała większej aktywności. Myślę, że było to związane z panującym wtedy, a może i dziś, tradycyjnym modelem rodziny, w którym postacią aktywną jest mężczyzna, a pasywną kobieta – uważa prof. Stachowiak. – Jolanta Kwaśniewska to przełamała. Maria Kaczyńska też była aktywna w sferze publicznej. Potem niestety nastąpił regres – dodaje.

Profesor zauważa, że Anna Komorowska i Agata Kornhauser-Duda wróciły do modelu z lat 90., w którym pierwsze damy stroniły od aktywności publicznej. Na ich tle wyróżnia się aktywność Jolanty Kwaśniewskiej i Marii Kaczyńskiej. Pierwsza dama z lat 1995-2005 na początku prezydentury męża powołała fundację „Porozumienie Bez Barrier”, która od tego czasu przeprowadziła wiele akcji prospołecznych na różnych polach. Kwaśniewska była na tyle zaangażowana w działalność charytatywną i polityczną, że umieszczano ją w sondażach na prezydentkę Polski przed wyborami w 2005 roku. Plotki zdementowała pod koniec 2004 roku.

Rodzime media regularnie obiegają sondaże badające opinie Polaków na temat pierwszych dam. Głosujący prawie zawsze za najlepszą uznają Kwaśniewską. Tak wynika np. z tegorocznego sondażu dla „Wprost”. Kwaśniewska zdobyła w nim 53,8% głosów, będąca na drugiej pozycji Agata Kornhauser-Duda uzyskała 10,1%, dalej Maria Kaczyńska 9,6% oraz Danuta Wałęsa i Anna Komorowska po 4%. Skąd taka popularność Kwaśniewskiej? – Uosabiała to, jak chcieli się widzieć Polacy – wyjaśnia profesor UAM dr hab. Elżbieta Lesiewicz, kierowniczka Zakładu Najnowszej Historii Politycznej WNPiD. – Inteligentna, dobrze ubrana, wykształcona, z klasą wypowiadająca się na różne tematy, zaangażowana, mająca swoją fundację. Wdzieliśmy, że może godnie reprezentować Polskę na arenie międzynarodowej – tłumaczy. Inną przyczynę popularności Kwaśniewskiej wskazuje prof. Stachowiak. – Jest to kobieta wykształcona, mająca ogromną wiedzę, jednak wydaje mi się, że jej szeroka popularność wynikała nie z tego, lecz z wpasowania się w popkulturę tamtego okresu, wartości cenionych na gruncie kultury popularnej. O stosunku do Kwaśniewskiej w dużej mierze decyduje relacja z popkulturą – wyjaśnia profesor. Należy tu wymienić szeroko komentowane spotkanie ówczesnej prezydentowej z Michaeliem Jacksonem, z którym w 1996 roku odwiedziła warszawski dom dziecka.

– Maria Kaczyńska zabierała głos w pewnych bardzo newralgicznych momentach. Nie bała się przeciwstawić hermetycznemu środowisku Prawa i Sprawiedliwości – zauważa prof. Lesiewicz komentując drugą z aktywnych pierwszych dam. Jako przykład obrony własnego zdania można podać scysję między Tadeuszem Rydzykiem a Marią Kaczyńską, którą duchowny otwarcie skrytykował za podpisanie się pod apelem kobiet o niezaostrożaniu prawa do aborcji. Marii Kaczyńskiej nie wsparli wtedy politycy PiS-u, jednak żona prezydenta nie uległa presji otoczenia.

Jeśli wierzyć aktualnym sondażom, szanse na zostanie siódmą Małżonką Prezydenta III Rzeczypospolitej mają: Agnieszka Mentzen, Marta Nawrocka i Małgorzata Trzaskowska. Ostatnia z wymienionych ma największe doświadczenie w relacjach ze światem polityki. Towarzyszyła mężowi podczas poprzednich kampanii wyborczych, angażuje się w sprawy polityczne i społeczne, często działa niezależnie od męża. Pozostałe panie wspierają swoich małżonków, lecz zdają się bardziej cenić swoją prywatność i życie rodzinne. O tym, kto zamieszka w Pałacu Prezydenckim, zdecydujemy już za kilka tygodni. Nie prze-gapmy tej szansy i idźmy na wybory.

Anna BIELECKA
annbie10@st.amu.edu.pl

Rozkoszny smak studiów

Podnoszenie cen żywności potrafi być ogromnym utrapieniem. Przekonują się o tym szczególnie studenci, kiedy ich budżet staje się niewystarczający, by sprostać codzienności. Muszą podejmować wtedy trudne decyzje – wydać więcej i zjeść lepiej czy zaoszczędzić kosztem dobrej jakości. W jadłospisach młodych ludzi królują niekiedy odgrzewane pizze, zupki chińskie oraz potrawy ze słoików przygotowane przez rodziców. Czy w tej biednej rzeczywistości jest miejsce na coś ekskluzywnego i drogiego, jak na przykład kawa na mieście?

W obliczu rosnącej inflacji studenckie życie staje się swoistą walką o przetrwanie. Z tego powodu niektóre lokale oferują zniżkę studencką za okazaniem legitymacji. Jednak często to za mało. Studenci muszą łączyć wymagający plan zajęć z pracą i czasem dla siebie, przez co ich budżet nie należy do największych. O ile ci szczęśliwsi mogą liczyć na wsparcie rodziców, o tyle inni są skazani, by radzić sobie całkowicie samodzielnie. Naturalne jest więc to, że potrzeba jakości schodzi na dalszy plan. Natomiast młodość ma się tylko jedną, dlatego warto mądrze za-

rzadzać budżetem – oszczędzać, nie odmawiając sobie od czasu do czasu odrobiny przyjemności.

Dlaczego jest tak drogo?

Czynników wpływających na podnoszenie cen żywności w Polsce jest całkiem sporo. – Możemy podzielić je na czynniki popytowe i podażowe. Jeśli chodzi o te podażowe, to przede wszystkim są to zjawiska atmosferyczne: susze, powodzie, anomalie temperatury, przymrozki. To wszystko wpływa na to, że plony są niższe. Jakość gleb także pozostawia wiele do życzenia, co z kolei powoduje konieczność stosowania polepszaczy i nawozów, których koszty też mają wpływ na wzrost cen żywności. Od strony popytowej na pewno jest to zwiększenie popytu związane z napływem migrantów. Do tego zmiana przyzwyczajeń konsumentów w kierunku egzotycznych produktów, co sprawia, że je importujemy, a wtedy są droższe. Do tego dochodzą ceny paliwa, którego cena także przekłada się na ceny jedzenia – tłumaczy dr Magdalena Kacperska, ekonomistka z UAM.

W najbliższej przyszłości nie możemy liczyć na obniżenie cen żywności. – Tendencja jest wzrostowa – ocenia dr Kacperska. – Mamy do czynienia ze zjawiskami klimatycznymi, jak długotrwałe susze czy powodzie. Poza tym chociażby sytuacja międzynarodowa związana z konfliktem w Ukrainie i dostarczaniem

zbóż i innych produktów rolnych z Ukrainy. Wpłynąć może na to również kwestia wojny celnej, która wiąże się ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki wprowadzającymi cła na towary żywnościowe. Może się okazać, że będzie więc znaczący wzrost cen żywności – dodaje.

Studenckie realia

A czy studenci myślą przyszłościowo? – Uważam się za osobę rozważnie gospodarującą pieniędzmi, nie jestem rozrzutna. Kiedy mogę, faktycznie staram się oszczędzać i kupować zamienniki droższych produktów, a pieniądze staram się inwestować w przyszłość. Natomiast żyjemy w takich czasach, że od wzrostu cen nie uciekniemy. A życie mamy tylko jedno i czasami zdarzają się wyjątki, gdy kupię jakąś droższą rzecz – mówi Zosia, studentka pedagogiki.

Studenci stają niejednokrotnie przed trudnym wyborem: wyjść do kawiarni, restauracji lub innego lokalu czy udać, że nie mają czasu, oszczędzając przy tym pieniądze? – Uwielbiam się spotykać na kawie z przyjaciółkami i poplotkować, ale też mam na uwadze to, że kawa na mieście może kosztować dwadzieścia czy trzydzieści złotych. Osoby, które lubią oszczędzać, może taka kwota zabolet, więc w takich sytuacjach staram się proponować spotkanie u którejś w domu. Dzięki temu też można zrobić fajny klimat, niekoniecznie wychodząc na kawę na miasto, tylko robiąc to w domowej atmosferze. A spacer po mieście też jest przecież cudowny – przedstawia swoją perspektywę Zosia.

Czy Stany Zjednoczone Ameryki próbują nastawić Rosję przeciwko Chinom? Mamy do czynienia z geopolitycznym mirażem czy raczej z przemyślaną strategią? Co w ogóle dzieje się w amerykańskiej polityce zagranicznej, której przewodzi Donald Trump? O tym, oraz o kondycji amerykańskiej polityki zagranicznej i stanie negocjacji pokojowych dotyczących Ukrainy porozmawialiśmy z Witoldem Juraszem, publicystą serwisu Onet.pl i byłym dyplomatą.

Jeszcze przed objęciem prezydentury Donald Trump deklarował, że zakończy wojnę w Ukrainie w jeden dzień. Tymczasem od zaprzysiężenia mijają kolejne miesiące, a koniec konfliktu nadal jest daleko. Czy można już mówić o porażce zapowiedzi Donalda Trumpa, czy z takimi tezami należy się jeszcze wstrzymać?

– Jeżeli ktoś traktował te obietnice poważnie, to powinien dzisiaj mówić o porażce, ale wszyscy rozumieliśmy, że jest to jedynie figura retoryczna – przechwalanie się i dezynwoltura typowa dla Trumpa. Stwierdzenie, że sprawy nie zmierzają we właściwym kierunku i Trump poniesie spektakularną porażkę, jest jednak przedwczesne.

W takim razie, w czym problem – dlaczego nie ma przełomu?

– Negocjacje zmierzają w niewłaściwym kierunku w innym sensie. Wydaje się, że Trump godzi się na daleko idące ustępstwa, nie osiągając jeszcze w zasadzie niczego. Tu uwaga – otóż inaczej niż większość komentatorów nie uważam, by ustępstwem była publiczna konstatacja tego, że Ukraina nie odzyska całego okupowanego terytorium, bo to stwierdzenie rzeczywistości. Oczywiście są tacy, którzy uważają, że powiedzenie tego głośno jest pewnego rodzaju aktem kapitulacji. Na Zachodzie nie funkcjonujemy jednak w tym samym paradygmacie co Rosja, czyli w „turborealizmie”, w którym coś istnieje tylko dlatego, że się o tym nie mówi, albo nie istnieje, bo o tym nie mówimy. Nie uznaję za ustępstwo również przyznania, że Ukraina nie zostanie członkiem NATO – bo do tego celu nie dążyła ani obecna, ani poprzednia administracja USA.

Czym w takim razie możemy się niepokoić?

– Chociażby słowami, że Władimir Putin to „równy gość”, z którym można znaleźć wspólny język, albo że Ukraina staje się takim samym problemem jak Rosja. To może oznaczać, że wojna – choć nigdy nie miała szans na w pełni sprawiedliwe zakończenie – może zakończyć się próbą przywrócenia Rosji na światowe salony (przynajmniej z perspektywy polityki USA). A przecież kluczową sprawą było nie tyle to, czy wojna się zakończy w sprawiedliwy sposób (bo jasne, było, że tak nie będzie), ile to, czy po jej zakończeniu będziemy dalej izolować Rosję. Niestety, dziś nie mam pewności, że tak będzie. Trzeba też zauważyć pewien paradoks. Amerykanie nie mogą sami „przywrócić” Rosji na salony czy też konkretniej znieść jej izolacji

– Studenci są poszkodowani, to na pewno. Jest to jedna z grup, ale nie najbardziej poszkodowana. Studenci mają możliwość dorobienia sobie, są elastyczni. Oczywiście rosną im koszty życia: żywności, najmu, studiowania. Natomiast mają większe możliwości w chociażby podejmowaniu się zleceń, gdyż nie płacą do dwudziestego szóstego roku życia podatku – ocenia sytuację dr Kacperska.

Strategia państwa

– Polityka rządu wpływa na podnoszenie cen żywności, mowa tu o podatkach obciążających konsumentów, czyli podatek VAT czy akcyza. VAT przez jakiś czas był na podstawowe produkty żywnościowe obniżony do stawki zerowej. W zeszłym roku w kwietniu już należało powrócić do tej pięcioprocentowej stawki, ale ona nie jest wysoka. To nie jest większy problem. Problemem są w głównej mierze regulacje, nawet nie polskie, ale unijne, związane z obostrzeniami dotyczącymi stosowania pestycydów i innych nawozów, które powodują wzrost cen produkcji żywności – komentuje dr Kacperska.

Można uznać, że studia z wielu przyczyn to jeden z ważniejszych okresów w życiu człowieka. Współcześnie są wymagające m.in. ze względu na wzrost cen. Jest to jednak dobry czas na pierwsze rozwijanie umiejętności związanych z gospodarowaniem pieniędzmi, jednak w taki sposób, by nie odbierać sobie przyjemności z życia.

Agnieszka ŁUKASZEWSKA
agnluk7@st.amu.edu.pl

„Trump idzie na daleko idące ustępstwa”



„Jeśli ktoś dzisiaj sądzi, że Rosję można nastawić przeciwko Chinom, to chyba «nie odrobił pracy domowej»”

gospodarczej bez zgody Europy. A jeśli obecna administracja USA jednoznacznie nie potwierdza swoich zobowiązań wobec Europy, to automatycznie osłabia swoją pozycję w tym zakresie. Europa zaczyna coraz bardziej obawiać się Rosji, a tym samym można zakładać, że tak łatwo nie zgodzi się na to, czego Amerykanie by chcieli.

Dlaczego więc nowa administracja względem Rosji jest aż tak spolegliwa i czy można powiedzieć, że szuka się manewru „odwróconego Nixona”, czyli, mówiąc bardziej kolokwialnie, czy Amerykanie próbują nastawić Rosję przeciwko Chinom?

– To, że mówi się o manewrze „odwróconego Nixona”, jest dowodem, że Marcowi Rubio – obecnemu sekretarzowi stanu – trochę do Henry’ego Kissingera – sekretarza stanu w czasach prezydentury Richarda Nixona – brakuje. Pomiędzy obecną sytuacją a tą z 1971 roku jest zasadnicza różnica. Kiedy Kissinger jechał do Pekinu, komunistyczne Chiny były skłócone z komunistycznym Związkiem Sowieckim, a dzisiaj Chiny i Rosja są w nie tak może głębokim jak się czasem sądzi, ale tym niemniej sojuszu. Usłyszałem kiedyś trafne porównanie: „śpią w tym samym łóżku, ale śnią różne sny”. Jeśli ktoś dzisiaj sądzi, że Rosję można nastawić przeciwko Chinom, to chyba „nie odrobił pracy domowej”.

Nie ma szans, że Rosja mogłaby zostać chociaż w minimalnym stopniu „junior partnerem” Stanów Zjednoczonych Ameryki?

– Rosja jest do tego po prostu psychologicznie niezdolna. Nie zaakceptuje roli tego podporządkowanego. To państwo imperialne do szpiku kości – albo dominuje, albo, albo jest wrogiem. Spolegliwość obecnej administracji USA względem Rosji częściowo wynika z ideologicznego „zaczadzenia”. Być może tkwi

w niej jakiś głęboki antyeuropejski kompleks czy refleks, nieufność wobec Europy jako takiej. Jednak najważniejsze jest coś innego – coraz silniejsze przeświadczenie o słabości Ameryki. I tu dochodzimy do sedna. Mimo mocarstwowej, buńczucznej retoryki Trumpa czy J.D. Vance’a, w tle przebija coś innego – przekonanie, że „my, Amerykanie, nie jesteśmy już w stanie zarządzać światem”.

Rzeczywiście nie są?

– I tu właśnie mamy tragiczny paradoks. Amerykanie nadal mogliby to robić, ale tylko dzięki systemowi sojuszy, lecz tu tkwi największy problem – Trump, świadomie lub nie, ten właśnie system rozmontowuje. A siłą Ameryki zawsze było lewarowanie się za pomocą systemu sojuszy. Dlatego też uważałem, że jeśli Trump wróci do Białego Domu, Stany Zjednoczone Ameryki nie będą silniejsze, tylko słabsze. Nie dlatego jednak, że świat się aż tak zmienił, ale dlatego, że same świadomości zrezygnują z narzędzi, które dawały im przewagę.

Jak obecnie wyglądają rokowania, jeśli chodzi o rozmowy pokojowe?

– Jedyna uczciwa odpowiedź jest taka, że nie mam zielonego pojęcia. Zanim zostałem dziennikarzem i publicystą, pracowałem jako dyplomata – wiem, że ta rzeczywistość, którą znamy z programów telewizyjnych, której opisy czytamy w mediach i stan faktyczny rzeczy często bardzo się różnią. W związku z tym z dużą pokorą podchodzę do tego rodzaju pytań. Sądzę, że rozmowy najpierw skończą się niczym (bo Rosjanie, jak to mają w zwyczaju przeliczują), a potem – ale to już przy drugim podejściu – negocjacje pokojowe ostatecznie zakończą się „zgnitym kompromisem”.

Jeżeli Ukraina nie odzyska wszystkich terytoriów, to przegra czy wygra?

– Większość komentatorów w Polsce twierdzi, że będzie to klęska i wtedy Rosjanie będą szybko przygotowywać się do następnej wojny. Ten tok rozumowania ma jednak jedną słabość – dlaczego nie mieliby przygotowywać się do wojny również wtedy, gdy ich granice byłyby w innym miejscu? To nie od tego zależy bezpieczeństwo Ukrainy, ale od tego, czy pokój i zakończenie wojny będą obwarowane gwarancjami bezpieczeństwa. Optymalnie – oznaczającymi obecność wojskową państw NATO w Ukrainie. Odpowiadając zaś już wprost na Pana pytanie – czy gdy Finlandia po wojnie zimowej straciła Karelię, ale zachowała niepodległość i suwerenność, to przegrała czy wygrała? Ja uważam, że wygrała, i podobnie może to wyglądać w tym przypadku.

Istnieje ryzyko, że Ukraina po wojnie stanie się strefą wpływów Rosji?

– Myślę, że nie. Ukraińcy są dzisiaj już zbyt antyrosyjscy.

Rozmawiał Dominik JANICKI
domjan17@st.amu.edu.pl



Wykwintne jedzenie dla studentów bywa luksusem

Zosia Nowakowska

Czy naprawdę jesteś sam?

Na pytanie „Czy czujesz się samotny?” większość studentów z zagranicy odpowie: „Tak, ale nie jestem tym zdziwiony”. Student z innego miasta odpowie: „Tak, ale z czasem to minęło”. Jednak nawet ci, którzy nigdy nie zmienili miejsca zamieszkania, mogą odpowiedzieć: „Tak. Bo tęsknię za przyjaciółmi ze szkoły i czuję się tutaj niezrozumiany”. Samotność to uczucie, które może zaskoczyć każdego z nas, niezależnie od naszego charakteru i środowiska. Jedni częściej jej doświadczają, inni rzadziej, jednak każdy ją zna – szczególnie z procesu adaptacji do nowego otoczenia. Najważniejsze to nie dać się przekonać, że naprawdę jesteś sam. Ale jak to zrobić?

Różne osoby (w tym nauczyciele akademicy) konsekwentnie określają studiowanie jako „najlepszy okres w życiu”. „To czas nawiązywania najważniejszych znajomości i poznawania przyjaciół na całe życie”. Czy jednak jest to prawda? Nie do końca. Zgodnie z raportem z 3 edycji badania #NigdyWięcejSamotności – aż 65% osób z pokolenia Z, czyli obecnych studentów, doświadcza samotności. Ponad 32% badanych dodatkowo deklaruje, że często odczuwa samotność, a kolejnym 33% respondentów to odczucie towarzyszy „czasami”. Dlaczego tak jest? Może istnieje jakieś uniwersalne lekarstwo na samotność? I czy naprawdę jesteś sam?

Część rzeczywistości

Zadając pytanie o poczucie samotności studentom z zagranicy studiującym po polsku, mogłam spodziewać się w zasadzie wyłącznie twierdzących odpowiedzi. To doświadczenie tak uniwersalne, któremu towarzyszy tak ogromna zmiana w życiu, że większość nie przywiązuje już do niego większej wagi. – Czy to nie jest po prostu część naszej rzeczywistości? – pytaniem na pytanie odpowiada Ksenia, studentka z Białorusi. – Jednak trudno nie czuć się samotnym, kiedy nie można zapytać o cenę produktu w sklepie bez nieśmiałości i strachu. Bariera językowa zabija chęć do rozmowy już na samym początku – dodaje.

W literaturze anglojęzycznej funkcjonuje pojęcie „syndromu zagranicznego studenta” („foreign student syndrome”), które po raz pierwszy pojawiło się w 1967 roku w czasopiśmie „Journal of American College Health”. Pojęcie to zostało również opisane przez brytyjskiego psychologa Adriana Furnhama w artykule „Foreign students. Education and culture shock”. Syndrom charakteryzuje się wyrażaniem psychologicznego niepokoju, skargami na kondycję fizyczną, niewielkim kontaktem



W sali pełnej miejsc – brak obecności

z kulturą nowego państwa, pasywnym i wycofanym stylem komunikacji. I choć dalsze badania nie potwierdziły związku między fizycznym samopoczuciem studentów a miejscem, w którym studiowali, samotność pozostaje jednym z głównych czynników wpływających na poziom stresu, problemy emocjonalne, a nawet motywację do nauki.

Początki były bardzo ciche

Podobne odczucia mają również studenci, którzy przeprowadzili się z innych miast. – Bardzo było mi przykro, gdy wychodziłam ostatni raz z mojego rodzinnego domu. Dotarło wtedy do mnie, że już nigdy nie będę tam mieszkać. Że ten znaczący etap mojego życia dobiegł końca – dzieli się swoimi doświadczeniami Agata, studentka pierwszego roku dziennikarstwa i komunikacji społecznej. – Nie obyło się bez łez, gdy przytulałam moją siostrę, zostawiając ją po części samą – dodaje.

Choć nie uważa się za osobę bardzo przywiązaną do rodziny i zwykle z łatwością nawiązuje relacje, przeprowadzka zmusiła ją do budowania wszystkiego od zera. – Te początki były bardzo ciche. Poczucie anonimowości było dla mnie obce, w moim liceum dużo osób mnie kojarzyło – mówi. Wspomina także, że na początku trzymała się po prostu z tymi, którzy byli obok, a dopiero z czasem pojawiły się znajomości, które faktycznie opierały się na wspólnych zainteresowaniach czy wartościach. Kolejnym wyzwaniem było dołączenie do redakcji studenckiej, w której wszyscy wydawali się już zgrani i zasymilowani, oraz odnalezienie swojej niszy, w której czułaby się dobrze. – Wyprowadzka zawsze łączy się z wyjściem ze strefy komfortu, ale z perspektywy kilku miesięcy mogę powiedzieć, że warto. Kosztowało

mnie to sporo stresu, ale teraz czuję, że się rozwijam, poznałam wiele wspaniałych osób – podsumowuje Agata.

Usiadłem i czekałem

Szymon również zmagał się z poczuciem samotności. Na początku czuł się bardzo zagubiony i trudno było mu nawiązywać nowe przyjaźnie. Z doświadczenia ze szkoły wiedział, że jest to mało opłacalne. – Pierwszego dnia usiadłem przy stoliku i czekałem, aż ktoś usiądzie – przypomina sobie Szymon. – To było poddanie się losowi. Usiadł bardzo sympatyczny chłopak z Ukrainy i dobrze nam się rozmawiało, po czym już nigdy więcej nie zamieniliśmy słowa. Ale mówimy do siebie cześć na korytarzu, więc to jest jakiś progres – przyznaje.

Dopiero później, gdy zaczęły się projekty grupowe, Szymon poczuł, że jego sytuacja się poprawia. Mimo że kontakt był lekko wymuszony przez konieczność pracy grupowej, pozwoliło to na otworzenie się. I wbrew temu, że na początku inni wydawali się skrajnie od niego odmienni, jakoś się w tej odmienności odnalazł. A wszystko dzięki temu, że byli wobec niego tolerancyjni i wyrozumiali, tak jak on wobec nich.

Jest pomoc!

Do Poradni Psychologicznej UAM w 2024 roku zgłosiło się około 300 osób, a aż 24 sesje odbyły się w języku angielskim. Poradnia pomaga nie tylko studentom, lecz także pracownikom uczelni, oferując bezpłatne wsparcie psychologiczne i psychoterapeutyczne, skoncentrowane na konkretnych celach i trudnościach. Oprócz indywidualnych konsultacji istnieje również możliwość skorzystania z warsztatów psychologicznych o różnej tematyce lub uczestnictwa w krótkoterminowej grupie terapeutycznej. Jednym z powodów zgłoszenia może być właśnie poczucie samotności.

– W odniesieniu do poczucia samotności u studentów I roku warto zaznaczyć, że jest to jedno z normatywnych wyzwań, które pojawiają się w tym ważnym momencie życia. Wcale nie musi być ono objawem utrwalonych problemów psychicznych, a może się jedynie wiązać z przejściowymi trudnościami adaptacyjnymi – przypomina Arkadiusz Wesołowski, przedstawiciel Poradni. – Jeśli jednak mamy poczucie, że samotność jest źródłem lęku, cierpienia, stresu lub innych negatywnych doświadczeń, warto zwrócić się po pomoc do Poradni niezależnie od tego, czy poczucie samotności towarzyszy nam od dłuższego czasu, czy pojawiło się w momencie rozpoczęcia studiów – mówi. Kontakt z Poradnią możliwy jest pod numerem telefonu 539 026 422.

Podążając za opowieściami naszych bohaterów, Poradnia radzi próbować otwierać się na nowe doświadczenia i osoby, szukając różnych grup, w których możliwe będzie zawieranie znajomości. Dzięki temu zwiększymy nasze poczucie przynależności i bliskości z innymi. Jeśli jednak samotność sprawia cierpienie, pamiętaj, że nie jesteś sam i zawsze możesz zwrócić się po pomoc.

Yelizaveta RAYETSKAYA
yelay@st.amu.edu.pl

Reelekcja bez nadziei

Historia prezesury Cezarego Kuleszy zaczęła się jak u Hitchcocka – od trzęsienia ziemi. Wszedł do gabinetów z przytupem i od razu postawił przed FIFA twarde warunki dotyczące wykluczenia Rosji z piłkarskiego świata. Potem napięcie tylko narastało, jednak sam zainteresowany wizerunkowo nie wyszedł na tym najlepiej.

Kulesza w marcu poległ na europejskiej scenie. Jego kandydatura do Komitetu Wykonawczego UEFA została odrzucona. Uzbierał 21 głosów, co okazało się niewystarczające, aby zdobyć mandat. Ten przypadł między innymi Finowi, Estończykowi i Ormianinowi. Na chwilę przed wyborami prezesa PZPN, które zaplanowano na 30 czerwca, nominacja na europejskie stanowisko byłaby asem w rękawie Kuleszy. Aktualnie nie tylko nie jest pewny reelekcji, ale też musi szukać innych rozwiązań, by przekonać wojewódzkich baronów.

Przeciwnik na horyzoncie

Prezesa Polskiego Związku Piłki Nożnej wybiera Walne Zgromadzenie Delegatów, występujące jako 118 podmiotów związanych z polskim środowiskiem piłkarskim. Łącznie 60 z nich to reprezentanci Wojewódzkich Związków Piłki Nożnej. To głównie o ich głosy toczy się wyborcza gra. Drugą siłą są delegaci klubów Ekstraklasy i pierwszej ligi. Interesy drużyn zwyczajowo są zbieżne, a rola wybieranego przez nich prezesa polegać ma raczej na nieprzeszkadzaniu niż na próbie pomocy. Na pozostałych, symbolicznych ośmiu delegatów składają się

przedstawiciele Stowarzyszenia Trenerów Piłki Nożnej, Stowarzyszenia Sędziów Piłki Nożnej w Polsce oraz reprezentanci piłki nożnej kobiet i futsalu.

Poprzednie wybory Cezary Kulesza wygrał dzięki zdobyciu 92 głosów. Kluczowe w jego kampanii z 2021 roku było bezpośrednie zaangażowanie w sprawy lokalnych baronów i budowanie relacji. Piszząc wprost, organizowanie bankietów rodem z lat 90. Na stanowiskach kierowniczych związków wojewódzkich zasiadają w większości ci sami ludzie, którzy zasiedli na stołkach na początku wieku. Stąd określenie „baronowie” – byli od zawsze i wydawało się, że na zawsze tam pozostaną.

Na rozbicie kierowniczego betonu liczy Paweł Wojtala, jeden z kontrkandydatów na stanowisko prezesa PZPN, aktualnie prezes Wielkopolskiego ZPN. Pełni tę funkcję od 2016 roku na tyle dobrze, że pod koniec marca doczekał się trzeciej kadencji, uzyskując 98% głosów. Wojtala mocno angażuje się w rozwój lokalnej piłki, potrafi współpracować z przedstawicielami klubów, ale przede wszystkim ma świeże spojrzenie na ten sport.

Krewni i znajomi królika

O ile świta Kuleszy bezsprzecznie wie, jak robić biznes – dzięki czemu zawarto wiele kontraktów sponsorskich, w tym rekordową umowę z InPostem – o tyle cała organizacja budowana jest na „kolesiostwie”, które nie sprzyja zdrowemu zarządzaniu. Najbardziej jaskrawym tego przykładem jest wyjazd reprezentacji Polski na mecz do Kiszyniowa. Afera mołdawska negatywnie wpłynęła na postrzeganie całej kadry, które zbiegło się z absolutnie tragicznymi wynikami sportowymi.

Główną rolę odegrał w niej Mirosław Stasiak, były działacz piłkarski, prawomocnie skazany za 43 przestępstwa związane z

ustawianiem meczów. Znalazł się on w bezpośrednim otoczeniu piłkarzy, bankietując z innymi działaczami. Relacje z tamtego wyjazdu dają podstawy, by domniemywać, że towarzyszył im również alkohol, choć prezes Kulesza oficjalnie temu zaprzeczył. Żadne oświadczenia nie wyrażają wspomnień kibiców śpiewu Stasiaka na oficjalnej kolacji i rytmicznego „zizu-zu-zizu”. Sprytne rozwiązania zapobiegły katastrofie, czyli wycofaniu się kluczowych sponsorów z powodu strat wizerunkowych.

Kontrowersyjny działacz znalazł się w bliskim otoczeniu reprezentacji prawdopodobnie na zaproszenie prezesa. Tego samego, który mianował Michała Probiezka selekjonerem, głównie z powodu dobrych relacji i wcześniejszej współpracy. Probiez nie miał argumentów uprawniających go do objęcia tak wysokiego stanowiska. Fakty swoje, a Kulesza swoje. Potwierdził tym tylko, że ręki do wyboru trenerów pierwszej reprezentacji na pewno nie ma.

Kluczową postacią pozostaje Henryk Kula, śląski baron i wiceprezes PZPN ds. organizacyjno-finansowych. Pełniona przez niego funkcja ma wymiar jedynie symboliczny, bo w rzeczywistości Kula podejmuje działania wykraczające poza kompetencje. Wszystko pod płaszczykiem ochronnym Cezarego Kuleszy. Śląski działacz wpadł na pomysł odgórnego ograniczenia liczby osób upoważnionych do wypowiadania się publicznie w sprawach PZPN. Marna próba cenzurowania dziennikarzy i członków zarządu spotkała się z ostrym sprzeciwem. Idea, zamiast zakładanej poprawy komunikacji z otoczeniem, wprowadziła jeszcze więcej chaosu i zrodziła zarzuty o brak transparentności działań. Od tamtego czasu stosunki między PZPN a opinią publiczną zaogniły się.

Kiedy marzenia stają się produktem

Dla wielu młodych ludzi zakończenie studiów to nie tylko moment dumy, ale także początek trudnej drogi na rynku pracy. Znalezienie zatrudnienia zgodnego z wykształceniem i pasjami bywa dziś wyzwaniem – zwłaszcza w czasach rosnącej konkurencji, niepewnych warunków i licznych ofert, które okazują się czymś zupełnie innym, niż miały być. Właśnie w takiej rzeczywistości coraz częściej dochodzi do przypadków nieuczciwych rekrutacji, które zamiast pracy oferują iluzję sukcesu – często za wysoką cenę.

Nierzadko okazuje się, że oferty, które na pierwszy rzut oka wydają się atrakcyjne i pełne obietnic rozwoju, w rzeczywistości mijają się z tym, czego oczekują kandydaci. Obok popularnych ogłoszeń publikowanych w mediach społecznościowych – na grupach wypełnionych postami z gatunku „praca zdalna dla studenta”, „elastyczny grafik”, „budowanie zespołu” czy „rozwój osobisty” – coraz więcej tego typu propozycji trafia również na uznane portale rekrutacyjne, takie jak Pracuj.pl czy OLX Praca. Platformy, które dotąd kojarzyły się z wiarygodnymi ofertami zatrudnienia, dziś coraz częściej stają się przestrzenią działań firm, które pod hasłami samorealizacji ukrywają zupełnie inny model „współpracy”.

Rekrutacja czy manipulacja?

– W ogłoszeniu wszystko wyglądało profesjonalnie: praca w klubie sportowym, możliwość rozwoju, elastyczne godziny. Firma bardzo szybko się ze mną skontaktowała i zaprosiła na rozmowę. Nie wspomniano jednak, że będzie to spotkanie grupowe – a nie indywidualna rekrutacja. Już po wejściu do sali czułam, że coś jest nie tak – wspomina z wyraźnym rozczarowaniem Beata Wiczcerek, która odpowiedziała właśnie na jedną z takich ofert.

Beata wspomina, że pomieszczenie, w którym odbywało się spotkanie, bardziej przypominało showroom suplementów niż biuro rekrutacyjne. – Jeszcze bardziej niepokojące było to, że nikt nie zadał mi ani jednego pytania o moje kompetencje, kwalifikacje czy doświadczenie zawodowe. Przez blisko godzinę słuchaliśmy opowieści o „wolności finansowej”, „życiu z pasją” i „niesamowitych sukcesach naszych uczniów” – zarówno zdrowotnych, jak i finansowych. Wszystko to brzmiało jak dobrze wyreżyserowana prezentacja motywacyjna, a nie rozmowa o pracy – dodaje.

Na końcu spotkania okazało się, że uczestnicy, aby w ogóle rozpocząć współpracę muszą wykupić obowiązkowe szkolenie za kilkaset złotych. – Miałoby ono przygotować nas do działania



Masońska piramida na amerykańskim dolarze

w „branży wellness” i nauczyć „kluczowych kompetencji biznesowych”. Później dowiedziałam się, że większość obowiązków polega na sprzedaży tych samych suplementów – a z faktyczną pracą trenera czy działalnością sportową nie ma to prawie nic wspólnego. Czułam się rozczarowana i zmanipulowana. To nie była żadna rekrutacja – to była sprzedaż marzenia – opowiada Beata. – Warto dodać, że większość uczestniczek spotkania stanowiły młode studentki. Nie wiem, ile z nich uwierzyło w tę szansę, ale z perspektywy czasu mam pewność, że to właśnie one są główną grupą docelową tej firmy – osoby, które dopiero wchodzą na rynek pracy i mogą nie mieć jeszcze wystarczających narzędzi, by krytycznie ocenić całą sytuację – podsumowuje.

Marketing sieciowy czy piramida?

W kontekście coraz liczniejszych ofert pracy, które pod płaszczykiem rozwoju zawodowego promują kontrowersyjne modele współpracy, warto jasno rozróżnić dwa z pozoru podobne pojęcia: marketing wielopoziomowy (MLM) i piramidę finansową.

Marketing sieciowy to legalny model sprzedaży bezpośredniej. Produkty trafiają do klienta dzięki niezależnym przedstawicielom, którzy zarabiają nie tylko na prowizji od własnej sprzedaży, ale również na działaniach osób, które sami zrekrutowali. Kluczowe jest jednak to, że istnieje realny produkt o konkretnej wartości rynkowej, który faktycznie trafia do odbiorcy.

W przypadku piramidy finansowej mechanizm wygląda zupełnie inaczej. Podstawą działania nie jest tu sprzedaż produktu, lecz pozyskiwanie nowych uczestników, którzy muszą zainwestować określoną kwotę, by dołączyć do współpracy. Zyski tra-

fiają do osób stojących wyżej w strukturze, a produkt – o ile w ogóle istnieje – jest tylko pretekstem.

W praktyce granica między MLM a piramidą może być trudna do uchwycenia. Warto jednak zadać sobie jedno kluczowe pytanie: czy większy nacisk kładzie się na sprzedaż towaru, czy na rekrutację i opłaty wstępne? Jeśli odpowiedź wskazuje na to drugie – możemy mieć do czynienia z modelem nielegalnym i potencjalnie szkodliwym.

Co ukryte, wyjdzie na jaw

W Polsce działa wiele form stosujących nieuczciwe metody zarabiania na inwestycjach, podszywających się pod legalne modele biznesowe, jak marketing wielopoziomowy (MLM). Przykładem są firmy Selfmaker Smart Solutions i Selfmaker Technology, które zostały ukarane przez prezesa UOKiK za organizowanie piramidy finansowej. Te firmy stosowały system oparty na tym schemacie, uzależniając korzyści dla uczestników głównie od wprowadzenia nowych osób do systemu i zakupu tokenów o niewielkiej wartości rynkowej. Obiecywano zyski z wpłat nowych uczestników, a nie z rzeczywistej sprzedaży produktów.

Selfmaker przekonywał, że zakup tokenów wspomogł rozwój firmy, jednak hala produkcyjna nie została zakupiona, a firma tylko wynajmowała pomieszczenia. Dodatkowo firma posiadała jedynie niespełna 10% akcji w Selfmaker Technology. Prezes UOKiK uznał, że działania firm wprowadzały konsumentów w błąd, a system miał na celu pozyskiwanie środków od nowych uczestników. Kara dla Selfmaker Technology wyniosła 895 tys. zł, a dla jego prezesa – 150 tys. zł. Selfmaker Smart Solutions otrzymał karę 96 tys. zł i zobowiązanie do zwrotu środków konsumentom.

Statystyki niepokoją

Jedną z największych afer tego typu jest sprawa upadłości firmy Amber Gold z 2012 roku. Wówczas klienci stracili około 851 milionów złotych. Jednak problem piramid finansowych pozostaje aktualny. W grudniu 2024 roku Zarząd Centralnego Biura Zwalczania Cyberprzestępczości we Wrocławiu rozpoczął śledztwo w sprawie piramidy finansowej platformy FutureNet. Na skutek nielegalnej działalności pokrzywdzonych zostało ponad 20 tys. osób. Straty związane z procederem wynoszą minimum 90 mln zł.

Aktualnie w Polsce obowiązują przepisy mające na celu zwalczanie takich oszustw, jednak skuteczność ich egzekwowania bywa różna. Wymaga to ciągłej czujności ze strony obywateli i instytucji państwowych. Warto zachować ostrożność przy inwestowaniu w oferty obiecujące wysokie zyski bez odpowiednich zabezpieczeń prawnych.

Mikita TSIABUS
miktisi@st.amu.edu.pl

*imię i nazwisko uczestniczki rozmowy rekrutacyjnej zostało zmienione

Sportowa degrengolada

Boiskowe wyniki niczym koldra są w stanie przykryć wszelkie kontrowersje. Kibice nie podważają decyzji dopóty, dopóki cieszący oko styl gry przynosi oczekiwane rezultaty. W naszej reprezentacji jednak od dawna nie jest dobrze i nie pomaga temu fakt, że prezes Kulesza aż trzykrotnie mylił się w kwestii posady selekcjonera. Każda z tych pomyłek była kosztowna nie tylko sportowo, ale też wizerunkowo.

Wybór Czesława Michniewicza już od początku był balansowaniem na granicy – z jednej strony jego CV to m.in. klubowe tytuły, z drugiej – obciążał go bagaż przeszłości. Wynik sportowy? Wyjście z grupy na mundialu po kilkunastu latach. Styl? Taki, że kibic łapał się za głowę, a eksperci zmuszeni byli tłumaczyć, że to „taktyczna kalkulacja”.

Fernando Santos miał być odpowiedzią na te zarzuty. Trener mistrzów Europy, starszy pan z autorytetem. Tyle że autorytetu nigdy nie rozpakował z walizki. W Warszawie pojawiał się okazjonalnie, można powiedzieć turystycznie, a nazwiska piłkarzy z Ekstraklasy znał chyba jedynie z raportów, bo na pewno nie widział ich w akcji. Relacja z drużyną? Żadna. Plan? Niewidoczny. Efekty? Katastrofalne. Przyszłość, zobaczył, przegrał. A Kulesza musiał ratować sytuację kolejną zmianą.

Reprezentacja Polski od lat nie daje kibicom radości. Nie gra ładnie, nie gra skutecznie, a co najgorsze – nie daje nadziei. Za tę sportową stagnację nie odpowiadają tylko selekcjonerzy – oni przychodzą i odchodzą. To prezes PZPN podpisuje kontrakty, podejmuje decyzje i bierze za nie odpowiedzialność. I coraz bardziej wygląda na to, że reprezentacja to nie drużyna, tylko pole minowe. A Cezary Kulesza zamiast saperem, jest kimś, kto te miny rozstawia.

Filip SZYMKOWIAK
filszy10@st.amu.edu.pl



Według raportu Bartłomieja Gawreckiego od 2016 roku przeznaczono pół miliarda złotych na polskie kluby piłkarskie

Od sezonu 2017 w Formule 1 ściga się dziesięć zespołów, jednak już w przyszłym sezonie zadebiutuje jedenasty – będzie nim Cadillac obok ścigającego się od 2016 roku zespołu Haas. Obydwa amerykańskie zespoły powstawały od zera, co nie jest niczym nowym w historii „królowej motorsportu”. Nie zawsze jednak takie debiuty kończyły się sukcesami.

W obecnej stawce – nie licząc Haasa – tylko trzy zespoły jeżdżą pod niezmienioną marką od chwili debiutu. Są nimi Ferrari (od 1950), McLaren (od 1966) i Williams (od 1978). Większość aktualnych ekip powstała dzięki przejściu innej, już istniejącej. Na przykład Red Bull Racing wywodzi się od założonego w 1997 roku zespołu Stewart Grand Prix (jego właścicielem był Jackie Stewart, trzykrotny mistrz świata). Już dwa lata później zespół został odsprzedany Fordowi, który zmienił jego nazwę na Jaguar. Natomiast przed sezonem 2005 ekipa z Milton Keynes znalazła się w posiadaniu austriackiego producenta napojów energetyzujących.

Rozczarowanie w F1

Toyota próbowała swoich sił jako pierwszy w XXI wieku zespół zakładany od zera. Japoński gigant motoryzacyjny odnosił sukcesy w rajdowych mistrzostwach świata. Startował także w wyścigach długodystansowych. Pod koniec lat 90. Japończycy postanowili wejść do Formuły 1. Założenia były ambitne – wszystkie komponenty (w tym silniki i skrzynie biegów) miały być produkowane w Kolonii, gdzie znajdowała się siedziba działu motorsportu. Ekipa miała zadebiutować w 2001 roku, jednak planów nie udało się zrealizować na czas i ten rok japoński zespół spędził na testach. Problemy dotyczyły także pracowników nowej stajni, ponieważ większość z nich nie miała doświadczenia w pracy w Formule 1.

Debiutancki sezon 2002 Toyota zaczęła od szóstego miejsca Miki Salo w Grand Prix Australii (punktowanych było pierwszych sześć pozycji). Należy jednak wspomnieć, że wyścig ukończyło tylko ośmiu kierowców. Właśnie za debiutanckie zawody Toyota zdobyła jedyne punkty w tym sezonie. Kolejne lata układały się nieco lepiej, a najbardziej udanym był 2005 rok. Japoński zespół zajął wówczas czwarte miejsce wśród konstruktorów, a kierowcy tego zespołu pięciokrotnie stawali na podium (Włoch Jarno Trulli zajmował dwukrotnie drugie miejsce, raz był trzeci, natomiast Ralf Schumacher zdobył dwukrotnie trzecie miejsce). Mogło być jednak jeszcze lepiej, ponieważ stajnia z Kolonii bardzo dobrze radziła sobie w kwalifikacjach, lecz w drugiej części sezonu zaczęła tracić formę.

Stosowanie w Formule 1 tych samych metod, co przy produkcji samochodów drogowych, okazało się błędem. Z tego powodu Toyota nie osiągała sukcesów. Przykładem była zmiana dostawcy opon z Michelin na Bridgestone pomimo protestów działu technicznego. W następnych sezonach Toyota przeważnie zajmowała miejsca w środku stawki, by w wyniku kryzysu gospodarczego wycofać się po 2009 roku. Kosztowny eksperyment się nie udał, a Japończycy wrócili do rajdów oraz wyścigów długodystansowych, w których odnoszą sukcesy do dziś.

Najgorsze zespoły w XXI w.

Ekipa Super Aguri ścigała się w Formule 1 w latach 2006-2008. Miała ona być nieoficjalnym zespołem juniorskim Hondy. Głównym kierowcą został Japończyk Takuma Sato, który zakończył GP Stanów Zjednoczonych 2004 na trzecim miejscu. Sezon 2005 nie był w karierze Japończyka tak udany i rok później w stajni z Brackley (która stała się fabrycznym zespołem Hondy) zastąpił go Rubens Barrichello. Mimo to Sato osiągnął dużą popularność w Japonii. Z pomocą przyszedł mu były kierowca Aguri Suzuki – wraz ze wsparciem Hondy kupił on obiekty byłego zespołu Arrows (który wycofał się z Formuły 1 po sezonie 2002) w brytyjskim Leafield. Jako że nie było czasu na przygotowanie nowych samochodów, Suzuki kupiło również bolidy tej ekipy z sezonu 2002. Stały się one podstawą do opracowania auta na 2006 rok.

Drugim kierowcą zespołu został 31-letni Japończyk Yuji Ide. Wziął udział tylko w pierwszych czterech wyścigach sezonu, spośród których ukończył tylko jeden. Ide nie miał wystarczającego doświadczenia za kierownicą samochodu Formuły 1, a brak znajomości języka angielskiego prowadził do nieporozumień. Ostatecznie Japończyk stracił miejsce z powodu tego, że w GP San Marino spowodował kolizję z Christijanem Alberssem, w związku z czym FIA odebrała mu superlicencję. Do końca sezonu Super Aguri nie zdobyło punktów. Dużo lepszy był jednak sezon 2007. Takuma Sato zajął ósme miejsce w Hiszpanii oraz szóste w Kanadzie, co dało mu cztery punkty i siedemnaste miejsce w klasyfikacji generalnej. Super Aguri zajęło dziewiąte miejsce, wyprzedzając Spykera i zdyskwalifikowanego po aferze szpiegowskiej

Toyota, „taczki” i tokarki



W ostatnich latach tylko jedna próba budowania zespołu "od zera" okazała się sukcesem

McLarena. W kolejnym sezonie zespół mierzył się z problemami finansowymi. Były one na tyle poważne, że wycofał się już po GP Hiszpanii.

Sezon 2010 przyniósł wiele przetasowań w stawce. Oprócz Toyoty z Formuły 1 wycofało się BMW, natomiast do rywalizacji po 55 latach powrócił Mercedes. FIA liczyła jednak na rywalizację z udziałem trzynastu zespołów. Na trzy wolne miejsca zgłosiło się piętnastu kandydatów, m.in. stworzony przez fanów myf1dream.com czy Stefan GP serbskiego biznesmena Zorana Stefanovicia. Ostatecznie wybrane zostały hiszpański HRT oraz brytyjski Virgin Racing. Amerykański USF1 z powodu problemów finansowych i organizacyjnych nie zgłosił się do rywalizacji, co umożliwiło kwalifikację malezyjskiemu Lotusowi. Nowe zespoły w sezonie 2010 nie zdobyły ani jednego punktu, a w kwalifikacjach traciły od trzech do sześciu sekund do zdobywców pole position.

Rok później HRT, Marussia Virgin i Lotus również nie punktowały. W GP Australii kierowcy HRT po raz pierwszy od 2002 roku nie zakwalifikowali się do wyścigu, bowiem ich czasy były gorsze niż 107% najlepszego czasu pierwszej części kwalifikacji (podobna sytuacja miała miejsce rok później). W tym samym sezonie w HRT zadebiutował Daniel Ricciardo. Popularyzacja Australijczyk nabył tam doświadczenie, które pomogło mu przenieść się do Toro Rosso przed sezonem 2012. Wtedy też Lotus zmienił nazwę na Caterham (nazwę Lotus otrzymał były zespół Renault). Również w tym roku nowe ekipy były najwolniejszymi w stawce, a jak się okazało, był to ostatni sezon HRT w Formule 1.

Dopiero w sezonie 2014 zespołowi Marussia udało się zdobyć pierwsze punkty dzięki Julesowi Bianchi. Kierowca uległ w tym czasie poważnemu wypadkowi w GP Japonii, w wyniku którego zmarł rok później. W następnym wyścigu w Rosji Marussia zdecydowała się wystawić tylko jeden samochód (nie ukończył wyścigu). Obu ekipom dały się we znaki problemy finansowe, które skończyły się bankructwem i wycofaniem po GP Rosji. Caterham zdążył wrócić jeszcze na wyścig w Abu Zabi. Marussia znalazła inwestora, co pomogło jej wystartować w sezonie 2015. Nie zdobyła wtedy jednak żadnego punktu, a dodatkowo nie ukończyła prac nad samochodem przed GP Australii, z powodu czego jej kierowcy nie wystartowali. Rok później zespół powrócił do rywalizacji jako Manor. Zdobył on jeden punkt, co dało ostatnie miejsce w klasyfikacji zespołowej i utratę premii w wysokości trzynastu milionów dolarów. Sytuacja finansowa Manora już wcześniej była dramatyczna i przed sezonem 2017 ogłosił on upadłość.

Umiarkowany sukces

Amerykański producent obrabiarek od 2002 roku był zaangażowany w serię NASCAR, jednak to nie wystarczyło do zaspo-

kojenia ambicji jego właściciela, Gene’a Haasa. W 2013 roku Amerykanin zgłosił zespół do naboru nowych ekip Formuły 1. Plan zakładał debiut w 2015 roku, jednak Haas zdecydował się dołączyć do rywalizacji rok później. Ekipa z Kannapolis długo pełniła rolę tła dla Mercedesa, Red Bulla czy Ferrari. Mimo to w 2018 roku zajęła piąte miejsce wśród konstruktorów dzięki solidnej postawie Kevina Magnussena. Później Amerykanie nie spisywali się już tak dobrze. Zespół nękały problemy finansowe oraz trudności związane ze sponsorami – Rich Energy (sponsor w sezonie 2019) okazał się niewiarygodnym partnerem, a firma Ural-kali (która w 2021 roku została sponsorem) należała do Dmitrija Mazepina, oligarchy powiązanego z Władimirem Putinem. Kierowcą zespołu został natomiast syn Mazepina, Nikita. Agresja Rosji na Ukrainę w 2022 roku spowodowała zerwanie umowy z nowym partnerem. W 2024 roku zespół doznał stabilizacji dzięki nowemu sponsorowi, zmianie szefa (Gunthera Steinera zastąpił Ayao Komatsu) oraz zacieśnieniu współpracy z Ferrari. W sezonie 2025 Haas nawiązał współpracę technologiczną z Toyotą, natomiast kierowcami zostali Francuz Esteban Ocon oraz obcujący Brytyjczyk Ollie Bearman.

Kluczowe lekcje? Po pierwsze – należy zadbać o fundusze i wiarygodnych sponsorów. Po drugie, ważne są doświadczone kadry. Po trzecie, nie można zaczynać przygotowań do debiutu na ostatnią chwilę. Cadillac, a wcześniej Andretti Racing (marka należąca do GM przejęła ten zespół) długo starał się o dołączenie do stawki Formuły 1. Przygotował także siedzibę w Silverstone (niedaleko słynnego toru), co nie pozostanie bez znaczenia dla przygotowania ekipy do wyścigów. Nie wiadomo jeszcze, jacy będą kierowcy nowej ekipy, jednak najczęściej pojawia się nazwisko Sergio Pereza. Meksykanin w zeszłym sezonie został zwolniony z Red Bulla, ponieważ z wyścigu na wyścig prezentował się coraz słabiej.

Oprócz Pereza przejawiają się także nazwiska Valtteriego Bottasa oraz Guanyu Zhou, obecnie kierowców testowych odpowiednio Mercedesa i Ferrari. Mniej prawdopodobny jest powrót w tym zespole innego byłego kierowcy Red Bulla Daniela Ricciardo. Drugi fotel w zespole ma objąć kierowca ze Stanów Zjednoczonych Ameryki, którym najprawdopodobniej będzie startujący w IndyCar Series Colton Herta (w sezonie 2022 był kierowcą testowym McLarena), który w zeszłym sezonie zdobył wicemistrzostwo serii. Zamiany Amerykanów dotyczące technologii są ambitne, ponieważ już od sezonu 2028 Cadillac planuje zaopatrywać swój zespół we własne silniki. Przez pierwsze dwa lata jednostki będzie dostarczać Ferrari. Plany dotyczące silników świadczą o tym, że drugi amerykański zespół będzie chciał na dłużej zagościć w stawce Formuły 1. Z jakim skutkiem? Czas pokaże.